

**FRANCES  
ELIZA  
BURNETT**

TAJEMNICZY OGRÓD

# Frances Eliza Hodgson Burnett

## Tajemniczy ogród

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23528802](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23528802)*

*Tajemniczy ogród:*

### Аннотация

Nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby Mary Lennox, małej Angielki wychowanej w Indiach, sympatycznym dzieckiem, jednak nawet ona nie zasłużyła na los, jaki ją spotkał. Jej rodzice zmarli podczas epidemii cholery, a ona sama została wysłana do Anglii, do nieznanego wuja, Archibalda Cravena. Od tej chwili życie Mary ma się toczyć w scenerii niczym z powieści grozy: Misselthwaite Manor to ponura posiadłość otoczona wrzosowiskami, w domu czasem rozbrzmiewają krzyki i płacz, a najpiękniejszy z ogrodów jest otoczony murem. Dziewczynka w tym pozornie mrocznym otoczeniu odnajduje jednak przyjazne dusze i sama zaczyna się zmieniać. Szczególnie od chwili, gdy pewien mały ptaszek pokaże jej drogę do klucza i ukrytych drzwi do zamkniętego ogrodu. A to dopiero pierwsza z tajemnic. Tajemniczy ogród to jedna z najbardziej znanych powieści Frances Hodgson Burnett. Doczekała się wielu ekranizacji, m.in. w reżyserii Agnieszki Holland w 1993.

# Содержание

Rozdział I. Nikt się nie ostał	4
Rozdział II. Panna Mary kapryśnica	12
Rozdział III. Przez wrzosowisko	23
Rozdział IV. Marta	29
Rozdział V. Krzyk w korytarzu	50
Rozdział VI. „A jednakże ktoś płakał”	58
Rozdział VII. Klucz od ogrodu	67
Rozdział VIII. Gil wskazał drogę	75
Конец ознакомительного фрагмента.	84

# Frances Hodgson Burnett

## Tajemniczy ogród

### Rozdział I. Nikt się nie ostał

W chwili gdy Mary Lennox została wysłana do Misselthwaite Manor dla zamieszkania tam przy wuju, twierdzono ogólnie, że było to najniesympatyczniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziano. I było to szczerą prawdą. Twarz jej była mała, chuda, postać mała i chuda, włosy miała jasne, rzadkie, skwaszony wyraz twarzy. Włosy jej były żółte, jak żółta również była twarzyczka, ponieważ Mary urodziła się w Indiach i wiecznie zapadała na zdrowiu – to na to, to na owo. Ojciec jej był na stanowisku rządowym, wiecznie zapracowany i sam chory; matka zaś, słynna piękność, dbająca jedynie o siebie, lubiąca zebrania, zabawy, otaczająca się młodym, wesołym towarzystwem. Nie pragnęła ona zupełnie dziecka; toteż gdy Mary na świat przyszła, oddała ją pod opiekę niańki Hinduski, zwanej w narzeczu tamecznym Ayah, której dano do zrozumienia, że jeśli jej chodzi o względy pani, to powinna dziecko trzymać o ile możności jak najdalej od jej oczu. Kiedy zatem Mary była chorowitym, nieznośnym, brzydkim niemowlęciem, usuwano ją matce z drogi; a gdy stała się chorowitym, nieznośnym, zaczynającym chodzić dzieckiem,

usuwano ją również sprzed matki oczu. Mary nie pamiętała, by z bliska widziała kogokolwiek innego prócz ciemnych twarzy swojej Ayah i reszty służby hinduskiej, a ponieważ jej byli posłuszni we wszystkim ze względu na to, że wrzaskami swymi mogła w razie oporu rozgniewać panią, przeto Mary w szóstym roku życia była najwięcej despotycznym<sup>1</sup> i samolubnym zwierzątkiem, jakie kiedykolwiek żyło na kuli ziemskiej. Młoda nauczycielka Angielka, która ją miała nauczyć czytać i pisać, tak trudne miała zadanie, że po trzech miesiącach porzuciła miejsce<sup>2</sup>, a inne jej następczynie uciekały po krótszym jeszcze przeciągu czasu. Toteż gdyby Mary nie była przyszła<sup>3</sup> po prostu fantazja i chęć poznać książki, nie byłaby się chyba nigdy zapoznała z alfabetem.

Pewnego rozpaczliwie upalnego rana, gdy miała lat około dziewięciu, zbudziła się w bardzo złym humorze, a humor się jej jeszcze o wiele pogorszył, skoro spostrzegła, że służąca stojąca przy jej łóżku to nie jej Ayah.

– Po coś przyszła? – rzekła do obcej kobiety. – Nie pozwalam ci tutaj zostać. Przyślij mi moją Ayah.

Kobieta patrzyła na Mary wystraszoną wzrokiem i wyjąkała, że Ayah przyjść nie może, a kiedy Mary wpadła w pasję i biła ją i szczypała, Hinduska patrzyła na nią coraz bardziej

---

<sup>1</sup> *najwięcej despotycznym* – dziś popr.: najbardziej despotycznym. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *miejsce* – tu: miejsce pracy, posada. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *była przyszła* – konstrukcja daw. czasu zaprzeszczonego, tj. wyrażająca czynność wcześniejszą od tej wyrażonej zwykłym czasem przeszłym. [przypis edytorski]

wystraszona i powtarzała, że Ayah w żaden sposób do panienki przyjść nie może.

Owego ranka było coś tajemniczego w powietrzu. Nic nie było wykonane w zwykłym porządku, a kilku hinduskich sług brakowało, ci zaś, których Mary widziała, skradali się lub uciekali z twarzami przerażonymi. Lecz nikt jej nic nie chciał powiedzieć; a jej Ayah nie przychodziła. Mary zostawiona była sama w dalszym ciągu i wreszcie wyszła do ogrodu i zaczęła bawić się sama pod drzewami w pobliżu werandy. Udawała, że urządza klomby z kwiatów, i zatykała wielkie szkarłatne pęki kwiatów w małe kupki ziemi i przy tym złość jej rosła, i dziewczynka mruzczała do siebie pod nosem wszystko, co powie niani, gdy ta powróci.

– Świnia! Świnia! Córka świni! – mówiła, bo nazwać Hindusa świnią jest najstraszniejszą obelgą.

Zgrzytała zębami ze złości i wciąż powtarzała to samo, gdy wtem usłyszała, że matka jej jest z kimś drugim na werandzie. Była tam z młodym blondynem i stali tak oboje, rozmawiając przyciszonym, dziwnym głosem. Mary знаła młodego blondyna, wyglądającego na chłopca. Słyszała, iż był to bardzo młody oficer, świeżo z Anglii przybyły. Dziecko patrzyło na niego, ale patrzyło i na matkę. Mary przyglądała się zawsze matce, ilekroć udało jej się ją widzieć, ponieważ „pani” – Mary tym mianem najczęściej nazywała matkę – była taką wysoką, wysmukłą, śliczną osobką i nosiła takie urocze suknie. Włosy jej były niby faliste przedrze jedwabne, miała mały, wykwintny

nosek i wielkie, śmiejące się oczy. Wszystkie jej suknie były cienkie i powłóczyste, a Mary mówiła, że „pełno na nich było koronek”. Lecz dzisiaj wydawało się, że więcej na niej koronek niż zazwyczaj, lecz oczy jej nie śmiały się wcale. Były szeroko otwarte i błagalnie wzniesione ku twarzy młodego oficera.

Mary usłyszała jej słowa:

– Czyż tak bardzo źle? tak bardzo?

– Strasznie – odrzekł młody człowiek drżącym głosem. – Strasznie, pani. Powinna pani była wyjechać w góry przed dwoma tygodniami.

Wtedy pani Lennox ręce załamała.

– Och! wiem, że powinna była wyjechać – szlochała. – Wszak zostałam jedynie dla tego pikniku niemądrego. Jakże byłam szalona!

W tejże chwili doszedł ich uszu taki lament rozpaczliwy z baraków dla służby, że pani Lennox gorączkowo chwyciła za ramię młodego oficera. Mary zaś drzeć poczęła na całym ciele. Lament i jęki stawały się coraz głośniejsze.

– Co to? co to? – szeptała przerażona pani Lennox.

– Ktoś znów umarł – odpowiedział młodzieńczy oficer. – Nie mówiłaś, pani, że zaraza wybuchnęła między służbą pani.

– Nic o tym nie wiedziałam! – zawołała. – Chodź pan ze mną, chodź! – i odwróciwszy się, wbiegła do wnętrza domu.

Nastąpiły potem rzeczy okropne i tajemniczość poranka tego wytłumaczona została małej Mary. Oto cholera<sup>4</sup> wybuchnęła w

---

<sup>4</sup> *cholera* – choroba zakaźna spowodowana zakażeniem bakterią przecinkowca

najgroźniejszej swej formie i ludzie padali jak muchy. Jej Ayę zabrano w nocy chorą, a lament ów w zabudowaniach służby powstał był właśnie wskutek jej śmierci. Do dnia następnego zmarło jeszcze troje służby, reszta w trwodze i popłochu uciekła. Paniczny strach opakował wszystkich, a ludzie marli jeden po drugim.

W zamęcie i przerażeniu następnego dnia, zapomniana przez wszystkich, Mary ukryła się w dziecinnym pokoju. Nikt o niej nie pomyślał, nikt jej nie pragnął, a tymczasem wydarzyły się dziwne a straszne rzeczy, o których nie wiedziała nic zgoła. Mary na przemiany płakała lub spała. Wiedziała tylko, że ludzie chorowali i że słychać było tajemnicze, przerażające jakieś głosy. W pewnej chwili wśliznęła się do jadalni, którą znalazła pustą, jakkolwiek częściowo dopiero opróżnione półmiski stały na stole, a talerze i krzesła wyglądały tak, jak gdyby je poodsuwano w pośpiechu. Dziewczynka zjadła owoców i biszkoptów, a dla ugaszenia pragnienia wypła szklanekę całą stojącego opodal wina. Wino było słodkie, lecz Mary nie znała jego mocy. Po małej chwili uczuła odurzenie, wróciła do swej nursery<sup>5</sup> i znów się zamknęła, przestraszona krzykami i odgłosami uciekających kroków. Uczuła ogarniającą ją, nieprzewyciężoną senność, położyła się na łóżeczku i na bardzo długo straciła świadomość

---

cholery (*Vibrio cholerae*) przez spożycie skażonej wody lub jedzenia; początkowe objawy obejmują biegunkę, wymioty, niekiedy bóle brzucha, a następnie charakterystyczne pomarszczenie skóry, zmianę głosu, zapadnięcie oczu i wyostrenie rysów twarzy; nieleczona cholera powoduje zgon. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *nursery* (z ang.) – pokój dziecinniey. [przypis edytorski]

tego, co się wkoło niej dzieje.

Tymczasem zaszło bardzo wiele, gdy Mary spała snem tak twardym, lecz jej już nic budziły ani jęki, ani odgłosy wnoszonych i wynoszonych przedmiotów.

Po przebudzeniu Mary leżała jeszcze, patrząc w sufit. W domu była cisza zupełna. Nie знаła ona ciszy takiej nigdy przedtem. Nie słyszała ani głosów, ani kroków niczyich i ciekawa była, czy już wszyscy wyzdrowieli i czy trwoga minęła. Ciekawa też była, kto będzie się nią opiekował po śmierci jej Ayah. Będzie zapewne nowa Ayah i może nawet umieć będzie nowe bajeczki. Mary była już, co prawda, znudzona dawnymi. Nie płakała ona zupełnie z powodu śmierci swej niani. Nie było to dziecko tkliwe i nie dbało nigdy o nikogo. Hałasy, bieganina, jęki i lament z powodu cholery straszyły ją jedynie, a teraz była zła, bo nikt zdawał się nie pamiętać o jej istnieniu. Znadto wszyscy byli przerażeni, by myśleć o dziecku, którego nikt nie lubił. Kiedy cholera wybuchła, każdy zdawał się myśleć tylko o sobie. Ale teraz, gdy już wszystko minęło, przyjdzie ktoś zapewne, by zobaczyć, co się dzieje z Mary.

Lecz nikt się nie zjawiał, a podczas gdy dziewczynka leżała wyczekując, dom cały zdawał się zapadać w coraz to głębszą ciszę. Usłyszała, że coś się czołga po matach na podłodze i, spojrzawszy w dół, ujrzała małego żółwia, czołgającego się wzdłuż muru i patrzącego na nią oczkami jak brylanty. Nie zlekła się wcale, gdyż wiedziała, że to stworzonko niewinne, które jej krzywdy nie zrobi, a tymczasem żółwik zdawał się

śpieszyć, by się jak najprędzej z pokoju wydostać. Wyśliznął się wreszcie przez szparę pod drzwiami.

– Jakże jest cicho i spokojnie! – rzekła do siebie. – Zdawać by się mogło, że prócz mnie i żółwia nikogo w domu całym nie ma.

W tymże samym momencie usłyszała kroki w ogrodzie, następnie na werandzie. Były to kroki męskie i kilku mężczyzn weszło do domu, rozmawiając przyciszonym głosem. Nikt nie wyszedł na powitanie, nikt do nich nie przemówił, a oni zdawali się otwierać jedne drzwi po drugich i zaglądać do pokoi.

„Cóż za spustoszenie! – usłyszała Mary. – Ta śliczna, urocza kobieta! Sądzę, że i dziecko; bo słyszałem, że miała córeczkę, choć jej nigdy nikt nie widział”.

Mary stała pośrodku swego pokoju, gdy w kilka minut później drzwi do niej się otwały. Wyglądała na brzydką, niesforną dziewczynkę, a drżała przy tym z głodu i oburzenia, że o niej tak niegodziwie zapomniano. Pierwszy, który wszedł, był to starszy oficer, którego Mary widziała niegdyś rozmawiającego z ojcem. Wyglądał na zmęczonego i wzruszonego, ale gdy spostrzegł Mary, tak się przeraził, że literalnie<sup>6</sup> skoczył wstecz.

– Barney'u! – wykrzyknął. – Tutaj jest dziecko! Dziecko zupełnie same! W takim miejscu! Na miłość boską, kto ona?

– Jestem Mary Lennox – rzekła dziewczynka, prostując się sztywno. Pomyślała sobie, że ten pan jest bardzo niegrzeczny, że dom jej ojca nazywa „takim miejscem!”. – Zasnęłam, gdy wszyscy chorowali na cholere, i właśnie teraz się obudziłam.

---

<sup>6</sup> *literalnie* – dosłownie. [przypis edytorski]

Czemu nikt do mnie nie przychodzi?

– To jest to dziecko, którego nikt nigdy nie widział! – zawołał oficer, zwracając się do swych towarzyszy. – Zapomnieli o niej wszyscy!

– Dlaczego o mnie zapomnieli? – zapytała Mary, tupiąc nogami. – Czemuż nikt nie przychodzi?

Młody człowiek, którego nazwano Barney, spojrział na nią z ogromnym smutkiem. Mary zdawało się nawet, że mu powieki zadrgały, jakby od łez.

– Biedne maleństwo! – rzekł. – Nie ostał się nikt. Nikt przyjść nie może.

I w ten oto dziwny i nieoczekiwany sposób Mary dowiedziała się, że nie ma już ni ojca, ni matki; że umarli oboje i że ich w nocy pochowano, a nieliczni słudzy, którzy uniknęli śmierci, opuszczali dom jak mogli najspieszniej, zapominając o istnieniu „panienki”. Oto przyczyna tej głuchej ciszy otaczającej Mary. W całym domu została przy życiu istotnie tylko ona i mały żółw.

## Rozdział II. Panna Mary kapryśnica

Mary lubiła z daleka patrzeć na swą matkę i znajdowała ją uroczą, ale nie znała jej prawie wcale, nic też dziwnego, że nie mogła jej kochać, ani tęsknić po niej, gdy ją straciła. I nie tęskniła zupełnie, a ponieważ była zawsze dzieckiem nader egoistycznym, przeto wszystkie swe myśli skierowała ku sobie, jak zresztą zawsze zwykła była czynić. Gdyby była starsza, może by przeraziła ją myśl, że została całkiem sama na świecie, ale przecież była jeszcze mała i inni o niej myśleli, sądziła zatem, że tak zawsze być musi. Chciała tylko wiedzieć, czy znajdzie się teraz między ludźmi miłymi, którzy będą dla niej grzeczni i pozwolą jej na wszystkie wybryki, jak to czyniła jej Ayah i reszta służby.

Wiedziała o tym, że nie pozostanie w domu pastora, gdzie ją na razie umieszczono. Nie życzyła sobie tam pozostać. Pastor był biedny, miał pięcioro dzieci, wszystkie prawie w równym wieku; sukienki ich były brudne, a dzieciaki kłóciły się ciągle i wydzierały sobie zabawki. Mary nienawidziła brudnego domu pastora i taka nieznośna była dla wszystkich, że po dwóch dniach żadne z dzieci nie chciało się z nią bawić. Drugiego zaraz dnia dali jej przewisko, które ją wprawiało w furję.

Pierwszy pomyślał o tym Bazyli. Był to mały chłopczyk o blado niebieskich oczach i zadartym nosie i Mary cierpieć go nie mogła. Bawiła się sama pod drzewami, tak samo zupełnie,

jak owego dnia fatalnego. Robiła klombiki z ziemi, ścieżki – a Bazyli stał w pobliżu i przyglądał się. Naraz zajęła go zabawa i podał projekt.

– Czemu nie ustawisz kupki kamieni, niby, że to są skały? – rzekł do niej. – O! tutaj, w środku – i pochylił się, by wskazać miejsce.

– Idź precz! Nie cierpię chłopców, idź precz! – wołała Mary. Przez chwilę Bazyli był zły, potem zaczął się droczyć. Droczył się zawsze z siostrami. Zaczął około niej tańczyć i podskakiwać, śmiał się i śpiewał:

„Panno Mary, kapryśnico.  
Odwróć zagniewane lico!  
Czy w ogródku rosną kwiatki,  
Maki, fiołki i bławatki?

Śpiewał dopóty, dopóki reszta dzieci nie postyszała i nie zaczęła śmiać się z nim razem. A im gorzej Mary się złościła, tym więcej śpiewali: „Panno Mary, kapryśnico”, nazywając ją tak później między sobą, a nawet wtedy, gdy do niej się zwracali.

– W końcu tego tygodnia pojedziesz do domu – rzekł do niej Bazyli. – A my się strasznie z tego cieszymy.

– Ja też cieszę się strasznie – odparła Mary. – Ale gdzie jest „dom”?

– Ona nie wie, co znaczy „dom”! – rzekł Bazyli z oburzeniem. – To znaczy oczywiście Anglia. Nasza babunia tam mieszka, a siostra nasza, Mosel, pojechała do niej w zeszłym roku. Ale ty

nie masz babuni, ty pojedziesz do wuja, który się nazywa pan Archibald Craven.

– Nie wiem nic o nim – sapła Mary.

– Wiem, że nic nie wiesz – odparł Bazyli. – Dziewczęta w ogóle nic nie wiedzą. Słyszałem, jak rodzice o nim mówili. Otóż wuj twój mieszka w ogromnym, rozległym, opuszczonym domu na wsi i nikt u niego nie bywa. Taki jest niemiły, że nikogo by nie przyjął, a gdyby chciał przyjąć, to by znów nikt do niego nie pojechał. Jest w dodatku garbaty i okropny.

– Nic ci nie wierzę – rzekła Mary; odwróciła się tyłem i zatkała uszy palcami, bo nie chciała już nic słyszeć.

Długo jednakże myślała później o wszystkim, co słyszała; a gdy pani Crawford powiedziała jej tegoż wieczora, że za dni kilka pojedzie do Anglii, do wuja, pana Archibalda Craven, mieszkającego w Misselthwaite Manor, Mary wydawała się tak kamiennie i uparcie obojętną, że nie wiedziano, co o niej myśleć. Starano się traktować ją serdecznie, lecz ona odwracała twarz, ilekroć pani Crawford usiłowała ją pocałować, i sztywna stała jak kij, gdy pan Crawford poklepał ją po ramieniu.

– Dziwne jakieś dziecko – rzekła później pani Crawford z politowaniem. – Matka jej była taką uroczą istotą i takie miała miłe obejście, a Mary to najniesympatyczniejsze dziecko, jakie w życiu widziałam. Dzieci nazywają ją „Panną Mary kapryśnicą”, a choć to niepoczciwie z ich strony, wcale im się nie dziwię.

– Być może, że gdyby jej matka była częściej zaglądała do dziecinnego pokoju, to i Mary byłaby nabrała miłego obejścia.

Smutne to wspominać obecnie, gdy to uroczę stworzenie nie żyje, że większość otaczającego ją towarzystwa nie wiedziała nawet, że ma dziecko.

– Sądzę, że nawet nie spojrzała na córkę – z westchnieniem odparła pani Crawford. – Wszak gdy jej Ayah umarła, to nikt zgoła nie pomyślał o tym biedactwie. Pomyśl tylko, że wszystko się rozbiegło, zostawiając to maleństwo samiuteńkie w całym tym opustoszo­nym domu. Kapitan Mac Grew mi mówił, że po prostu osłupiał, gdy, otworzywszy drzwi, znalazł ją samą na środku pokoju.

Długą podróż do Anglii Mary odbyła pod opieką żony pewnego oficera, która dzieci swoje odwoziła do szkół. Była ona bardzo zajęta własnymi dziećmi, toteż bardzo była rada, gdy w Londynie mogła Mary oddać jejmości, którą Archibald Craven przysłał po siostrzenicę. Jejmość ta była jego gospodynią w Misselthwaite Manor i nazywała się pani Medlock. Była to kobieta tęga, o bardzo czerwonych policzkach i ostrych, czarnych oczach. Miała na sobie jaskrawą, czerwoną suknię, mantyle<sup>7</sup> czarną, jedwabną, z dżetową frędzlą i czarny kapelusz z czerwonymi welwetowymi kwiatami, które przy każdym poruszeniu głową chwiały się i trzęsły na wszystkie strony. Mary nie poczuła sympatii do niej, ale ponieważ nigdy do nikogo sympatii nie czuła, przeto nie było w tym nic dziwnego; przy tym widoczne było aż nadto, że pani Medlock nie troszczyła się o nią

---

<sup>7</sup> *mantyla* – szal, często ozdobny, noszony daw. przez kobiety na ramionach, a niekiedy również okrywający głowę. [przypis edytorski]

zbyttnio.

– Słyszeliśmy, że matka jej była piękna. Nie dała urody córce w spuściźnie, prawda, proszę pani?

– Może wyładnieje, gdy będzie starsza – odparła dobrotliwie żona oficera. – Gdyby nie była taka niegrzeczna i miała miłszy wyraz, to rysy jej są raczej ładne. Dzieci się tak zmieniają!

– No, będzie się musiała bardzo zmienić – odparła pani Medlock. – A nie można powiedzieć, by w Misselthwaite były dobre lub jakiegokolwiek wpływy na dzieci!

Sądziły obie, że Mary nie słucha, gdyż dziewczynka stała trochę z dala, przy oknie hotelu, w którym stanęli. Przyglądała się ruchowi ulicznemu, lecz słyszała każde słowo i strasznie ciekawa była, jaki jest wuj i dom, w którym mieszkał. Co to znaczy „garbaty”? Nie widziała nigdy garbatego. Może w Indiach nie ma garbatych?

Odkąd Mary żyła między obcymi ludźmi i nie miała przy sobie swej niani, poczęła czuć się samą i myśleć o dziwnych rzeczach, całkiem nowych dla niej. Poczęła się teraz dziwić, dlaczego ona nigdy nie była czyjaś, nawet wtedy, gdy ojciec i matka jej żyli. Inne dzieci byli zawsze swego tatusia i swej mamusi, a ona nigdy niczyją nie była córeczką. Miała służbę i jedzenie, i sukienki. Ale nikt na nią nie zwracał uwagi. Nic wiedziała również o tym, że było to wszystko dla tej przyczyny, że ona sama była bardzo niemiłym dzieckiem; a Mary nie wiedziała, że była niemiła. Wręcz myślała o drugich, że są

nieprzyjemni, lecz nie myślała tego nigdy o sobie.

Pani Medlock wydawała jej się najbardziej nieprzyjemna ze wszystkich ludzi – raziła ją swoimi czerwonymi policzkami i ordynarnym, pretensjonalnym kapeluszem. Gdy dnia następnego wyjeżdżały w dalszą drogę do Yorkshire, Mary przez stację szła do pociągu z odwróconą głową i jak najdalej od pani Medlock, bo nie chciała, żeby myślano, że należą do siebie. Była zła na samą myśl, że mogliby ją wziąć za córeczkę pani Medlock.

Ale pani Medlock nie przejmowała się ani samą Mary, ani tym, co Mary sobie myślała. Była to kobieta, która „nie zawracała sobie głowy wybrykami młodych”. W każdym razie, gdyby ją zapytano, tak byłaby odpowiedziała. Nie chciała ona pojechać do Londynu nawet wtedy, gdy siostra jej, Maria, córkę wydawała za mąż, lecz pani Medlock miała wygodne, dobrze płatne miejsce ochmistrzyni w Misselthwaite Manor, a zatrzymać je mogła nadal pod tym jedynie warunkiem, że wykona natychmiast rozkaz pana Archibalda Craven. Nie byłaby nawet śmiała zakwestionować<sup>8</sup> cośkolwiek.

– Kapitan Lennox i żona jego zmarli na cholere – rzekł pan Craven, jak zwykle krótko i zimno. – Kapitan Lennox był bratem mojej żony, jestem więc opiekunem jego córki. Dziecko przywiezione będzie tutaj. Pojedzie pani do Londynu i przywiezie je do mnie.

Pani Medlock spakowała manatki<sup>9</sup> i puściła się w podróż.

---

<sup>8</sup> *zakwestionować* – podać w wątpliwość słuszność czegoś. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *manatki* (pot.) – rzeczy osobiste zabierane w podróż; bagaż podręczny. [przypis

Mary wtuliła się w kąt wagonu z miną kwaśną i złą. Nie miała co czytać, nie miała na co patrzeć, złożyła swoje cienkie, w czarne rękawiczki obciążnięte rączki na kolanach i siedziała cicho. Czarna jej sukienka podnosiła i uwydatniała żółtość jej cery, a jej sztywne, jasne włosy wymykały się kosmykami spod krepowego<sup>10</sup> kapelusza.

„W życiu swoim nie widziałam takiego niemilego, zepsutego dziecka jak ta!” – myślała pani Medlock. Nie widziała ona nigdy, żeby dziecko mogło tak długo siedzieć na jednym miejscu w zupełnej bezczynności; toteż znużyło ją przyglądanie się dziewczynie i zaczęła mówić ostrym, twardym głosem:

– Opowiem ci cośkolwiek o miejscu, do którego jedziesz – rzekła. – Czy wiesz cośkolwiek o swoim wuju?

– Nie – odparła Mary.

– Nie słyszałaś nigdy, by rodzice o nim mówili?

– Nie – odrzekła Mary i zadrżała. Zadrżała, przypomniawszy sobie, że ojciec i matka nigdy o niczym z nią nie mówili. Nigdy nie opowiadali jej o niczym.

– Hm! – mruzczała pani Medlock, patrząc na jej zamkniętą w sobie, złą twarzyczkę. Zamilkła na czas jakiś, po czym znów mówić zaczęła:

– Sądzę, że jednak trzeba cię przygotować. Jedziesz do miejsca bardzo dziwnego.

---

edytorski]

<sup>10</sup> *krepowy* – wykonany z czarnego materiału, z jakiego robiono stroje żałobne.  
[przypis edytorski]

Mary nic na to nie rzekła, a pani Medlock, rozczarowana jej obojętnością, dopiero po chwili zaczerpnęła powietrza i ciągnęła dalej:

– W każdym razie jest to ogromny dom, lecz ponury, a pan Craven dumny jest z niego na swój sposób i to jest dziwne. Dom ten ma już sześćset lat i stoi na końcu rozległego wrzosowiska; ma on blisko sto pokoi, chociaż większość z nich jest zamknięta na klucz. I od lat całych są tam obrazy i stare, piękne meble, i różne rzeczy; wokoło jest park ogromny, ogrody i drzewa ze starymi, do ziemi dostającymi gałęzmi. – Odpoczęła, zaczerpnęła oddechu – i to już wszystko – zakończyła nagle.

Mary mimo woli poczęła się przysłuchiwać. Wszystko, co słyszała, było tak odmienne od tego, co było w Indiach, a każda nowość miała dla niej urok. Lecz nie chciała dać po sobie poznać, że ją cokolwiek zajmuje. Był to jeden z jej nieprzyjemnych, nieszczęsnych narowów<sup>11</sup>. Siedziała zatem cicho.

– No i cóż? – rzekła pani Medlock. – Co panienka o tym myśli?

– Nic – odparła. – Nie znam się na takich domach.

Odpowiedź ta wywołała krótki, urwany śmiech pani Medlock.

– Ech! panienka jest zupełnie jak stara baba – powiedziała. – Czy to wszystko panienkę nic nie obchodzi?

– Wszystko jedno, czy mnie obchodzi czy nie – odparła Mary.

– Co do tego, to ma panienka rację – powiedziała znów

---

<sup>11</sup> narów – zły nawyk, przywara. [przypis edytorski]

pani Medlock. – Dlaczego panienkę zatrzymują w Misselthwaite Manor, to nie mam pojęcia. A może to najłatwiejszy sposób opiekuństwa<sup>12</sup>. Że on się nie będzie o panienkę troszczył, to więcej niż pewna. On się nigdy o nikogo nie troszczy.

Zatrzymała się, jak gdyby sobie coś w porę przypomniała.

– On ma krzywe plecy – rzekła – dlatego jest taki zły. Jako młody człowiek był zgryźliwy i mimo swej fortuny nic dobrego nie zaznał, dopóki się nie ożenił.

Mary zwróciła oczy na mówiącą mimo usiłowań udawania obojętnej. Nie myślała nigdy o tym, że garbus mógł się ożenić i była nieco zdziwiona. Spozrzegła to pani Medlock, a jako niewiasta bardzo gadatliwa ciągnęła dalej, z większym zapałem. Był to jedyny sposób skrócenia nudnej podróży.

– Ona, było to słodkie, śliczne stworzenie, a on byłby dla niej na kraniec świata poszedł po źdźbło trawy, gdyby tego zapragnęła. Nikt nie przypuszczał, że go zaślubi, a jednak zaślubiła. Ludzie mówili, że to zrobiła dla pieniędzy, ale to nieprawda. Nieprawda! – dodała z przeświadczeniem. – Gdy umarła...

Mary mimo woli poruszyła się.

– Ach! Więc umarła! – wykrzyknęła, niewiele myśląc. Przypomniała sobie była bajkę francuską, którą niegdyś czytała *Riquet à la Houppie*. Bajka mówiła o biednym garbusku i cudnej księżniczce, i naraz zrobiło jej się żal pana Archibalda Cravena.

– Tak, umarła – powiedziała pani Medlock – i odtąd

---

<sup>12</sup> opiekuństwo – dziś: opieka. [przypis edytorski]

zdziwaczał jeszcze więcej. Nie dba już o nikogo. Ludzi widzieć wcale nie chce. Po największej części wyjeżdża, a gdy jest w Misselthwaite Manor, to zamyka się w skrzydle zachodnim domu i tylko Pitchera dopuszcza do siebie. Pitcher to już stary dziad, ale opiekował się nim niegdyś, gdy był dzieckiem jeszcze, i zna dobrze jego usposobienie.

Było to wszystko dziwne jak w bajce i Mary wcale wesoło nie usposobiło. Dom o stu pokojach, wszystkich prawie zamkniętych i zaryglowanych – dom na krańcu wrzosowiska, wszystko to było dziwnie niewesołe. I ten człowiek, garbaty, który się także zamykał na dziesięć spustów! Mary patrzyła oknem z zaciśniętymi wargami i zdało jej się całkiem naturalne, że w tej chwili począł deszcz sieć ukośnymi strugami i bić o szyby wagonu. Gdyby żyła ta śliczna kobieta, byłaby rozweselała swoje otoczenie, tak jak jej mamusia, szczebiotem, ruchliwością, chodzeniem z jednej zabawy na drugą w cudnej, ozdobionej koronkami sukni. Ale i ta już nie żyła.

– Niech się panienka nie spodziewa ujrzeć pana. Daję głowę, że go panienka nie zobaczy – rzekła pani Medlock. – I nie trzeba się spodziewać, że tam ktokolwiek będzie z panienką rozmawiał. Trzeba będzie samej się bawić i myśleć o sobie. Powiedzą panience, do których pokoi wolno jej wchodzić, a od których należy trzymać się z daleka. Ogrodów tam pod dostatkiem. Ale nie trzeba kręcić się po domu i nosa wszędzie wtykać. Pan Craven nie życzy sobie tego.

– Wcale nie pragnę wtykać wszędzie nosa – odparła nasza

mała Mary; i jak nagle zrobiło jej się żal pana Archibalda, tak teraz nagle przestała go żałować, a myślała natomiast, że był taki niedobry, że zasłużył na to wszystko, co go spotkało.

I zwróciła twarzyczkę ku oknu, patrząc na strugi ściekającego po szybach deszczu, który padał nieprzerwanie, jakby nigdy ustać nie miał. Patrzyła tak długo i uparcie, dopóki wszystko nie zaczęło jej przed oczyma szarzeć, szarzeć, aż wreszcie znużona zasnęła.

## Rozdział III. Przez wrzosowisko

Mary długo tak spała. Po przebudzeniu się jej pani Medlock kupiła na jednej ze stacji koszyk ze śniadaniem, w którym były kurczęta i wołowina na zimno, chleb z masłem i gorąca herbata. Deszcz padał zawzięciej niż przedtem, a na stacjach wszyscy poubierani byli w płaszcze gumowe, lśniące i ociekające od deszczu. Konduktor zapalił lampy w wagonie, a pani Medlock rozkoszowała się swoją herbatą, kurczętami i wołowiną. Zjadła dużo, po czym sama zasnęła, a Mary siedziała, przyglądając się jej i jej kapeluszowi, który się smętnie zsunął na prawe ucho, aż wreszcie i ona zasnęła powtórnie, wtulona w kąt wagonu i ukołysana jednostajnym biciem deszczu o szyby. Było już zupełnie ciemno, gdy się zbudziła. Pociąg zatrzymał się na stacji, a pani Medlock zaczęła nią trząść.

– No, ale też panienka spała! – wykrzyknęła. – Wszakże czas już otworzyć oczy! Jesteśmy już w Thwaite, a jeszcze długa jazda przed nami.

Mary wstała i usiłowała otworzyć oczy, podczas gdy pani Medlock zbierała pakunki. Dziewczynce na myśl nie przyszło pomóc jej w tej czynności, gdyż w Indiach tubylcza służba zawsze wszystko za nią robiła i zdawało jej się zupełnie naturalne, żeby ją obsługiwano.

Była to mała jakaś stacyjka i nikt inny nie wysiadł tu prócz nich. Naczelnik stacji zaczął rozmawiać z panią Medlock w

szorstki, ale poczciwy sposób, wymawiając wyrazy dziwnie rozwlekłe, tak jak, Mary to później spostrzegła, mówią w Yorkshire.

– Co to, już pani z powrotem? I przywiozła pani tę małą?

– Ehe, to ona – odparła pani Medlock, mówiąc też w narzeczu jorkshirskim i wskazując ruchem głowy Mary. – Jakże się ma żona?

– Nieźle, dziękuję. Powóz czeka tam po drugiej stronie.

Powóz stał istotnie przed zajazdem stacji. Mary spostrzegła, że powóz jest wykwintny i że wykwintny służący pomógł jej wsiąść do niego. Długi jego płaszcz gumowy i pokrycie głowy lśniły i ociekały od deszczu, jak wszystko bez wyjątku, nie wyłączając grubego naczelnika.

Gdy służący drzwiczki zatrzasnął i usiadł obok stangreta na koźle, dziewczynka usadowiła się w wygodnym, miękkim kąciku, lecz senność ją całkiem odeszła. Siedziała, wyglądając oknem i pragnąc zobaczyć cośkolwiek na tej drodze, wiodącej do owego dziwnego domu, o którym mówiła pani Medlock. Nie było to dziecko lękliwe i nie można powiedzieć, by była wystraszona, lecz czuła, że jednak Bóg wie, co się może zdarzyć w domu, w którym jest sto zamkniętych pokoi, w domu stojącym na krańcu wrzosowiska.

– Co to jest wrzosowisko? – spytała nagle panią Medlock.

– Patrz wciąż oknem, a za jakie dziesięć minut sama zobaczysz – odparła kobieta. – Musimy pięć mil jechać wrzosowiskiem, zanim dojedziemy do domu. Wiele panienka nie

zobaczy, bo noc ciemna, ale cośkolwiek dostrzec można.

Mary nie zadawała już więcej pytań, lecz czekała w swym kąciuku, wpatrzona uparcie w okno. Latarnie rzucały naprzód smugi światła i Mary dostrzegła zarysy przedmiotów mijanych. Po opuszczeniu stacji przejeżdżali przez małą wioskę, dostrzegła białe domki i światła w domu ludowym. Później minęli kościół, probostwo i domek z rodzajem okna wystawowego z zabawkami, słodyczami i różnymi przedmiotami na sprzedaż. Później wyjechali na trakt i Mary dostrzegła żywopłoty i drzewa. Potem długo nie było nic godnego uwagi; w każdym razie Mary wydawało się to długo.

W końcu konie zwolniły biegu, jak gdyby wjeżdżały na wzgórek, i zdawało się, że już nie ma ni żywopłotów, ni drzew. W istocie Mary nie mogła nic dostrzec prócz nieprzeniknionej ciemności po obu stronach. Pochyliła się naprzód i przytuliła twarz do szyby, kiedy naraz powóz podskoczył.

– No, teraz to już na pewno jesteśmy na wrzosowisku – powiedziała pani Medlock.

Latarnie rzucały trochę światła na nierówną, złą drogę, która była jakby poprzecinana krzakami i czymś nisko rosnącym dokoła, czymś, co się kończyło gdzieś na krańcu horyzontu. Powstał wiatr, który wydawał dziwne, dzikie, szumiące odgłosy.

– Czy to... czy to morze czy nie? – spytała Mary swą towarzyszkę.

– Nie, to nie morze – odparła pani Medlock – ale też nie pola, ani góry, tylko mile całe, mile i mile dokoła dzikiego pastwiska,

gdzie nic nie rośnie prócz wrzosów i gdzie nic nie żyje prócz dzikich koników zwanych *ponney* i owiec.

– A jednak czuję, żeby to mogło być morze, gdyby była woda – powiedziała Mary. – Takie to odgłosy wydaje, zupełnie jak morze.

– To wiatr, który jęczy w zaroślach. Dla mnie to dosyć dzikie i samotne miejsce, choć mnóstwo ludzi je lubi, zwłaszcza gdy wrzosy kwitną.

Jechały tak coraz dalej w ciemności, a choć deszcz ustał, ruszył się silny wiatr, który świszczął i niemiłe wydawał dźwięki. Droga prowadziła w górę, to znów na dół, a kilka razy powóz przejeżdżał mostki, pod którymi z łoskotem szumiały spienione wody strumyków. Mary miała uczucie, że jazda ta nigdy się nie skończy i że wielka zimna wydma to ciemny ocean, a ona przezeń jedzie wąskim pasem lądu.

„Nie lubię tej wydmy” – powiedziała sobie w duchu i cienkie wargi silniej zacisnęła.

Konie pięły się w górę drogi, gdy Mary pierwsza dostrzegła światełko. Pani Medlock spostrzegła je równocześnie i odetchnęła z uczuciem wielkiej ulgi.

– Kontenta<sup>13</sup> jestem z tego światełka – zawołała – to światło w domku portiera. No, za chwilę napijemy się gorącej herbaty.

Było to „za chwilę”, jak rzekła, dość niezwykle, bo powóz po przejechaniu bramy parku musiał przebyć dwie mile angielskie alei, a drzewa, które niemal zupełnie stykały się czubami,

---

<sup>13</sup> *kontent* (daw.) – zadowolony. [przypis edytorski]

tworzyły nad nimi jakby długie, ciemne sklepienie.

Wyjechali zeń wreszcie na jaśniejsze miejsce i zatrzymali się przed ogromnie długim, niskim, a nieregularnie zbudowanym domem. Na razie zdawało się Mary, że dom cały jest ciemny, dopiero gdy wysiadła, dostrzegła słabe światło w jednym z okien na piętrze.

Wchodowe drzwi olbrzymie, ciężkie, były zbite z masywnych, dziwnie rżniętych desek dębowych, nabijane wielkimi, żelaznymi gwoźdźmi i powiązane żelaznymi sztabami. Przez nie wchodziło się do olbrzymiego hallu, który był tak słabo oświetlony, że Mary wcale nie czuła ochoty przyglądać się starym portretom pań i panów w całkowitym uzbrojeniu. Gdy tak stała na kamiennej posadzce olbrzymiego hallu, wydawała się bardzo drobną i bardzo niezwykłą, czarną figurką i czuła się tak nikła i osamotniona, i dziwna, jak była istotnie.

Ubrany bez zarzutu, chudy, stary człowiek stał w pobliżu lokaja, który mu drzwi otwierał.

– Ma ją pani wziąć zaraz do jej pokoju – rzekł głosem zachrypniętym. – Pan nie życzy sobie jej widzieć. Rano wyjeżdża do Londynu.

– Doskonale, panie Pitcher – odparła pani Medlock. – O ile wiem, czego chcą ode mnie, z pewnością to wykonam.

– Czego od pani chcą, mościa dobrodziejko? – rzekł Pitcher. – Oto jedynie tego, aby on miał spokój zupełny i aby nie widział tego, czego widzieć nie pragnie.

Potem zaprowadzono Mary Lennox przez szeroką klatkę

schodową i długi korytarz i znów w górę po kilku stopniach, i znów przez inny korytarz, i jeszcze przez jeden, póki nie natrafiono na drzwi prowadzące do jej pokoju, gdzie znalazła ogień na kominku i kolację na stole.

Pani Medlock odezwała się bez ceremonii:

– No, otóż jesteśmy! Ten oto pokój i ten obok, przeznaczone dla panienki, muszą panience wystarczyć. Proszę o tym nie zapomnieć.

W ten oto sposób panna Mary znalazła się w Misselthwaite Manor i chyba nigdy w życiu nie czuła się taką prawdziwą „kapryśnicą” jak w tej chwili.

## Rozdział IV. Marta

Nazajutrz z rana Mary otworzyła oczy, gdy młoda dziewczyna weszła do jej pokoju rozniecić ogień, a teraz klęczała przed kominkiem, hałaśliwie wygarniając niedopalone węgle. Mary przyglądała jej się chwilę, leżąc, po czym zaczęła rozglądać się po pokoju. Nigdy jeszcze nie widziała nic podobnego, pokój wydał się jej i dziwny, i ponury, ściany pokryte były tkaniną, na której wyhaftowano sceny leśne. Byli tam dziwnie ubrani ludzie wśród drzew, a w dali widniały wierzchołki wieżyc zamkowych. Byli tam myśliwi, konie i psy, i piękne panie. Mary miała uczucie, że się wraz z nimi w lesie znajduje. Przez okno dostrzegła wielką przestrzeń falistego gruntu, który był całkiem ogołocony z drzew i wyglądał jak bezbrzeżne, krwawo purpurowe morze.

– Co to takiego? – spytała, wskazując przez okno.

Młoda służąca, Marta, która właśnie powstała była z klęczek, wskazała również w tym kierunku i rzekła:

– To?

– Tak.

– To wrzosowisko – rzekła z poczciwym uśmiechem. – Czy panienka lubi wrzosowiska?

– Nie cierpię – odparła Mary.

– Bo panienka jeszcze nie przywykła – rzekła Marta, wracając do kominka. – Paniencie się ono teraz wydaje takie wielkie i takie

gołe. Ale ja wiem, że panienka strasznie je polubi.

– A ty lubisz je? – zagadnęła Mary.

– Ojoj! i jak jeszcze – odparła Marta, czyszcząc zawzięcie kratę kominka. – Ja moje wrzosowisko po prostu miłuję. A nie jest ono nagie, oj, nie! Całe ono roślinek cudnych pełne, a pachną ci one, oj, pachną! Toż ono śliczniuchne takie na wiosnę i latem, jak ono kwiecie zakwitnie, one wrzosy różowe. Pachnie, jakby miód rozlał! A tyle tam powietrza, że się upić można; a niebo to tak het, het wysoko nad nim, a pszczoły i pasikoniki taki miły rozgwar czynią, tak brzęczą a dzwonią! Za nic bym nie chciała żyć z dala od mego wrzosowiska!

Mary słuchała jej słów z powagą i zdumieniem. Tubylcza służba w Indiach nic a nic podobna nie była do tutejszej. Tamci byli uniżeni, służalczy i nie ośmieliliby się nigdy do państwa odzywać się jak do równych sobie. Bili im pokłony, nazywając ich „opiekunami biednych” i inne jeszcze nadając im nazwy. Indyjskiej służbie rozkazywano, nie proszono ich. Nie było zwyczaju mówić „proszę” i „dziękuję”, a Mary biła swą Ayah po twarzy, gdy się rozzłościła. I pomyślała sobie, co by też ta oto dziewczyna zrobiła, gdyby jej dano policzek? Było to rumiane, pulchne, miłe stworzenie, ale miała dziwnie ostre obejście i panna Mary zastanawiała się, czy by ona po prostu nie „oddała”, gdyby ją uderzono w twarz i gdyby uderzającą była mała dziewczynka.

– Dziwna jakaś z ciebie służąca – rzekła wyniośle.

Marta usiadła na piętach z szciotką do czyszczenia w ręce i

śmiała się, niezagniewana zupełnie.

– Dobrze to wiem – odparła, śmiejąc się. – Żeby sama jaśnie pani była w Misselthwaite, to bym przecie i pomocnicą pokojowej być nie mogła. Może by mi pozwolili być przy kuchni, ale nie do posługi w pokoju. Zanadtom prosta<sup>14</sup> i mówić pięknie nie potrafię. Ale to dziwny jakiś dom, choć taki wielki. Rzekłby kto, że tu ni dziedzica, ni pani nie ma, a jeno pan Pitcher i pani Medlock. Jak jaśnie pan w domu, to i wiedzieć o niczym nie chce, a wreszcie on ciągle w podróży. To pani Medlock z dobroci swojej dała mi to miejsce. Ale mi powiedziała, że gdyby Misselthwaite było takie jak inne dwory, to nigdy nie byłaby mogła przypuścić mnie do dworskiej służby.

– Czy ty będziesz moją służącą? – spytała Mary, zawsze tym samym wyniosłym, w Indiach nabytym tonem.

Marta poczęła znów czyścić kominek.

– Ja, proszę panienki, jestem służącą pani Medlock – odparła z godnością. – A ona służy jaśnie panu, ale ja niby mam robić robotę pokojowej i panience to i owo usłużyć. Aleć panienka nie potrzebuje znów tak dużo obsługi.

– Któż mnie będzie ubierał? – zagadnęła Mary.

Marta znów przysiadła na piętach, przyglądała się Mary, nie rozumiejąc, wreszcie ze zdumieniem spytała:

– To panienka sama nie potrafi?

– Cóż to ma znaczyć? Nie rozumiem cię.

– Chciałam powiedzieć, że panienka chyba umie sama się

---

<sup>14</sup> *zanadtom prosta* – skrócone: **zanadto jestem** prosta. [przypis edytorski]

ubrać.

– Nie – rzuciła Mary z zupełną pogardą. – Nigdy w życiu nie ubierałam się sama. Ayah zawsze mnie całą ubierała.

– W takim razie wielki czas, żeby się panienka nauczyła sama to robić – rzekła Marta, nie zdając sobie sprawy z swego zuchwalstwa. – Trzeba było młodziej zacząć. To panience dobrze robi, gdy sama koło swoich rzeczy pochodzi. Moja matka to zawsze się dziwuje, że dzieci bogatych państwa nie są do cna głupie, kiedy od maleńkości niańki je myją i ubierają, i na spacer prowadzą jak te lalki!

– W Indiach są zupełnie inne zwyczaje – rzekła Mary pogardliwie. Już jej to gderanie kością w gardle poczęło stawać.

Lecz Marta niełatwo się detonowała<sup>15</sup>.

– Hm, ja zaraz spostrzegłam, że to tam całkiem musi być inaczej – odrzekła serdecznie. – A ja myślę, że to wszystko przez to, że tam tyle tych czarnych, zamiast poczciwych białych ludzi. Jakem usłyszała, że panienka z Indii przyjeżdża, tom myślała, że panienka też jest czarna.

Mary wściekła usiadła na łóżku.

– Co! – zawołała – Co! Myślałaś, że Hinduska! Ty... ty córko świni!

Marta spojrzała przełękła i spłoszowana.

– Na kogo panienka tak mówi? – rzekła. – Nie wolno panience tak się złościć i nie powinna panienka tak brzydko mówić. A ja przeciw tym czarnym to nawet nic nie mam. Księża

---

<sup>15</sup> *zdetonować się* – speszzyć się, zmieszać się. [przypis edytorski]

to nam mówią i piszą, że oni są nawet bardzo pobożni. A mówią i to, że choć to czarny, ale zawsze on też człowiek i bliźni. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała czarnego człowieka i okrutniem się cieszyła, że nareszcie zobaczą choć jednego z bliska. Jakem tu rano weszła zapalić na kominku, tom się do panienki łóżka zakradła cichutko i kołderki cichutko uchyliłam, żeby na panienkę spojrzeć. A tu panienka biała! – rzekła z rozczarowaniem – nie czarniejsza niż ja, choć panienka ode mnie znów żółciejsza.

Mary już nie usiłowała nawet zapanować nad swą wściekłością i upokorzeniem.

– I ty myślałaś, że Hinduska! I ty śmiałaś! Nie masz żadnego pojęcia o Hindusach! To nie są ludzie, to są sługi, które ci się muszą kłaniać. Nic nie wiesz o Indiach, w ogóle o niczym pojęcia nie masz.

Wpadła w taką pasję i czuła się taka bezbronna przed szczerym spojrzeniem Marty, przy tym poczuła się nagle tak strasznie osamotniona i tak oddalona od wszystkiego, co rozumiała i co ją rozumiało, że rzuciła się twarzą na poduszki i wybuchnęła szalonym szlochem. Płakała tak rozpaczliwie, że poczciwej Marcie strasznie się jej żal zrobiło. Podeszła do łóżka i prosiła, pochylając się nad dziewczynką:

– Panienko! Nie trzeba tak płakać; doprawdy nie trzeba. Nie wiedziałam, że taką przykrość paniusi sprawię. W ogóle głupia jestem i nic nie wiem, jak panienka słusznie powiedziała. Bardzo panienkę przepraszam i proszę przestać płakać.

Było coś dodającego otuchy, coś rzeczywiście przyjacielskiego w jej mowie prostej, a szczerzej, coś, co na Mary dodatni wpływ wywarło. Przestała płakać i z wolna uspokoiła się zupełnie. Marta była uradowana.

– No, a teraz, panienko, czas wstawać. Trzeba... Pani Medlock kazała mi podać śniadanie, herbatę i obiad tu, do przyległego pokoju. Tam jest urządzony dziecinny pokój dla panienki. Pomogę się panience ubrać, jeśli panienka z łóżeczka wyjdzie. A jeśli sukienki zapinane na plecach, to naturalnie sama panienka zapiąć nie może.

Kiedy się Mary zdecydowała nareszcie wyjść z łóżka, Marta podała jej z szafy suknię inną niż ta, w której Mary przyjechała.

– To nie moja sukienka. Moja jest czarna – rzuciła Mary.

Przyjrzała się ładnej sukience z grubej, miękkiej, białej wełny z chłodnym uznaniem.

– Ale ta sukienka ładniejsza od mojej – dodała.

– A panienka musi się w nią ubrać – odrzekła Marta. – Pan Craven kazał ją kupić w Londynie. Powiedział przy tym: „nie chcę, by mi po domu chodziło czarno ubrane dziecko jak dusza potępiona”, tak powiedział. „To by ten dom czyniło jeszcze smutniejszym, niż jest. Ubierajcie ją w jasne kolory!”. Moja matka mówi, że wie, co on sobie myślał. Matka zawsze wie, co sobie kto myśli. Ona też nie lubi czarnego koloru.

– Nie cierpię czarnych rzeczy – zawołała Mary.

W czasie procesu ubierania się, obie nauczyły się rzeczy nowych. Marta „zapinała” wprawdzie swoje rodzeństwo nieraz,

ale nie widziała jeszcze dziecka, które by stało jak pień, pozwoliło robić za siebie wszystko, jakby nie miało własnych rąk i nóg.

– Czemu panienka się sama nie obuje<sup>16</sup>? – spytała, gdy Mary spokojnie wystawiła nogę.

– Ayah mi zawsze nakładała buciki – odparła Mary ze zdziwieniem. – Taki był zwyczaj.

Mary często powtarzała: „taki był zwyczaj”. Służba hinduska zawsze zwykła była tak mówić. Gdy im kazano zrobić coś, czego ich przodkowie przed tysiącem lat nie robili, spoglądali z słodkim uśmiechem, mówiąc: „tego nie było w zwyczaju” i wiadomo już było, że sprawa skończona.

Nie było też w zwyczaju, by Mary robiła cośkolwiek; umiała stać tylko i pozwalała łaskawie, by ją ubierano jak lalkę; zanim wszakże gotowa była do śniadania, zaczęła domyślać się, że ją życie w Misselthwaite Manor nauczy wielu rzeczy – całkiem dla niej nowych – jako to: wkładania na nogi bucików, pończoch, zbierania porozrzucanych rzeczy itd. Gdyby Marta była dobrze wytresowaną panną służącą jakiej wielkiej pani, byłaby więcej służbista i byłaby wiedziała, że do niej należało wyszczotkować włosy i buciki zapiąć, i pozbierać, i poskładać rzeczy. Była ona wszakże tylko prostą wiejską dziewczyną, wychowaną w chacie wraz z gromadką rodzeństwa i myślała jedynie o tym, jak im służyć, jak się zająć maleństwami, które zaczynały stawiać pierwsze kroki.

---

<sup>16</sup> *obuć się* – założyć buty. [przypis edytorski]

Gdyby Mary miała w sobie więcej wesołości, byłaby się z pewnością uśmieła z gadulstwa Marty. Ale Mary przysłuchiwała się tylko wyniośle i dziwiła się jej śmiałości. Zrazu nie zwracała uwagi na dziewczynę, ale gdy ta gadała i gadała bez końca, zaczęła z wolna uważać na jej opowiadanie.

– Oj, żeby panienka wiedziała! – rzekła. – Jest nas dwanaścioro, a ojciec zarabia tylko szesnaście szylingów na tydzień. Mówię panience, że matka to nie wie czasem, skąd wziąć na chleb dla nich. Cały dzień biegają po wrzosowisku, a matka mówi, że powietrze tutejsze ich tak tuczy i że pewna jest, że wszystkie bębny<sup>17</sup> trawę jedzą jak te dzikie konie. A nasz Dick to ma już dwanaście lat i oswoił sobie małego pony i mówi, że to jego.

– Gdzie sobie oswoił? – spytała Mary.

– Ano na stepie spotkał, jak pony był jeszcze małym źrebakiem przy matce i jak mu zaczął dawać kawałki chleba, a trawkę zieloną, świeżuchną zrywać, tak też się zaprzyjaźnili. Tak się źrebiątko do niego przyzwyczaiło, że za nim chodzi i pozwoli Dickowi na grzbiet sobie siadać. Dick to dobry bardzo chłopak i zwierzęta strasznie go lubią.

Mary nie miała nigdy na własność ulubionego zwierzątka, a zawsze mieć je pragnęła. Zaczęła więc interesować się po trosze Dickiem, a ponieważ dotychczas zajmowała ją jej osoba jedynie, była to zatem jakby jutrzeńka nowego, pocziwego uczucia. Gdy weszła do przeznaczonego dla siebie drugiego pokoju,

---

<sup>17</sup> *bēben* (daw., pot.) – małe dziecko. [przypis edytorski]

zauważyła, że był on zupełnie podobny do tego, w którym spała. A był to raczej pokój dorosłej osoby, lecz nie dziecka, z ponurymi, starymi portretami i ciężkimi, dębowymi sprzętami. Stół na środku zastawiony był pożywnym śniadaniem. Lecz Mary nigdy nie grzeszyła zbytnim apetytem, a teraz patrzyła więcej niż obojętnie na stawiane przed sobą potrawy.

– Nie lubię tego – rzekła.

– Co! panienska kaszy nie lubi? – wykrzyknęła Marta niedowierzająco.

– Nie lubię.

– Panienska nie wie, jakie to dobre. Trzeba posypać trochę cukrem.

– Nie lubię tego – powtórzyła Mary.

– Okropnie nie lubię, jak się takie dobre jedzenie marnuje – rzekła Marta. – Żeby tu nasze dzieci siedziały, to by w mig salaterka była pusta.

– Dlaczego? – spytała Mary chłodno.

– Dlaczego? – jak echo powtórzyła Marta. – Ano bo one nigdy nie mają żołądków jak się patrzy pełnych. Głodne to, a jadła chciwe jak młode jastrzębie albo lisy.

– Ja nie wiem, co to jest być głodną – rzekła Mary z obojętnością prawdziwej nieświadomości.

Marta była oburzona.

– Dobrze by paniencie zrobiło trochę się przegłodzić, już ja wiem – powiedziała szczerze. – Cierpliwości mi braknie, jak tak kto siedzi i tylko się gapi na chleb i mięso, a nie je. Mój Boże!

żeby tak naszym dzieciakom dać to wszystko, co tu jest na stole, byłaby ci uciecha, oj, była!

– Czemuż im tego zatem nie dasz? – poddała<sup>18</sup> Mary.

– Bo to nie moje – odparła Marta z godnością. – A przy tym to nie moje wychodne. Wychodne mam raz na miesiąc, jak reszta służby. Wtedy idę do domu, porządki porobię, a matczyńsko spocznie sobie dzień jeden.

Mary wypiła herbatę, zjadła sucharek z odrobiną marmolady.

– A teraz niech się panienka ciepło otuli i idzie pobiegać i pobawić się na dworze – rzekła Marta. – Dobrze panience zrobi trochę spaceru i apetyt będzie lepszy na obiad.

Mary podeszła ku oknu. Widać było ogrody, ścieżki, drzewa, ale wszystko wyglądało jakoś smutno i zimowo.

– Wyjść? Na co? Tak szkaradnie na dworze.

– Jak panienka nie wyjdzie, to będzie musiała siedzieć tu w pokoju, a co by tu panienka robiła?

Mary spojrzała dokoła siebie. Prawda, że nie miała tu co robić. Pani Medlock nie pomyślała o rozrywkach dzieciennych, przygotowując pokój dla dziewczynki. A może rzeczywiście lepiej będzie pójść obejrzeć ogrody?

– A kto mnie zaprowadzi? – spytała.

Marta spojrzała zdziwiona.

– Sama panienka pójdzie – odparła. – Musi się panienka nauczyć sama się bawić, jak inne dzieci, które nie mają braciszków i siostrzyczek. Nasz Dick, jak wybiegnie na pole,

---

<sup>18</sup> *poddać* – zaproponować. [przypis edytorski]

to godzinami całymi tam się bawi. Dlatego tylko tak się zaprzyjaźnił z kucykiem. Ma on na wrzosowisku i owieczki znajome, i ptaszki, co mu do rąk po jedzenie przychodzą. Choć tam w chacie głodno, ale on zawsze okruszyny chleba schowa na przywabienie swoich faworytów.

Wzmianka o Dicku zdecydowała Mary do wyjścia, choć dziewczynka sprawy sobie z tego nie zdawała. Na dworze będą ptaszki, choć nie będzie koników, ani baranków. Będą zapewne inne niż ptaszki w Indiach, a ją to bardzo będzie zajmować.

Marta podała jej płaszczyk i kapturek, i parę mocnych, ciepłych bucików i pokazała, któredy się schodzi na dół.

– Jak panienka tą drogą pójdzie, to znajdzie panienka do ogrodów – rzekła, wskazując na furtkę w żywopłocie. – Latem to tam kwiatów co niemiara, ale teraz pusto.

Zawahała się chwilę, po czym dodała:

– Jeden ogród jest całkiem zamknięty na klucz. Od dziesięciu lat nikt w nim nie był.

– Dlaczego? – spytała Mary mimo woli. Oto jeszcze jedne drzwi zamknięte w dodatku do owych stu w tym dziwnym domu.

– Pan Craven zamknął go, kiedy jego żona tak nagle umarła. Nie chce, żeby tam ktokolwiek chodził. To był pani ogród. A on drzwi zamknął, wykopał dziurę i klucz pochował. Tak! Ojoj! Pani Medlock dzwoni, muszę śpieszyć!

Gdy Marta odeszła, Mary zwróciła się ku furtce w żywopłocie. Wciąż myślała o ogrodzie, w którym nikt nie był od

dziesięciu lat. Ciekawa była, jak też wygląda i czy są tam jeszcze kwiaty kwitnące. Po przejściu furtki znalazła się w rozległych ogrodach, o wielkich strzyżonych trawnikach i wijących się, dobrze utrzymanych ścieżkach. Były tam drzewa i klomby, i w dziwne kształty strzyżone bukszpany, i staw z fontanną z szarego kamienia pośrodku. Ale klomby puste były, zimowe, a fontanna nie tryskała żywą wodą. To nie był ów ogród zamknięty. Ale jak można zamknąć ogród? Przecież do ogrodu zawsze można wejść.

Myślała właśnie o tym, gdy na końcu dróżki, którą szła, dostrzegła wysoki mur obrośnięty bluszczem. Nie знаła Anglii i nie spostrzegła się, że wchodzi do ogrodów warzywnych i owocowych. Podeszła do muru i spostrzegła wśród bluszczu zielone, otwarte drzwi. To przecież nie był zamknięty ogród, mogła wejść do niego.

Przekroczyła drzwi i spostrzegła, że to znów ogród murem otoczony i że jest to jeden z kilku otoczonych murem ogrodów, które się z sobą łączyły. Znów dostrzegła drzwi, a przez nie krzewy i ścieżki między inspektami z warzywami zimowym. Drzewa owocowe porozpinane były na murach, a wiele inspektów przykrytych oknami. Było tu i pusto, i brzydko, myślała Mary, stojąc i rozglądając się dokoła. Może w lecie było ładniej, gdy było zielono, ale teraz tu doprawdy nic nie było godnego widzenia.

W tejże chwili wszedł furtką z drugiego ogrodu stary człowiek z łopata na ramieniu. Na razie zdumiał się na widok Mary, potem dotknął czapki. Miał starą, pomarszczoną twarz i wydawał się

bardzo niekontent, gdy zobaczył Mary. Ale i ona rozczarowana była jego ogrodem, miała swój wyraz twarzy „panny Mary, kapryśnicy” i wcale nie była zadowolona ze spotkania.

– Co to za ogród? – spytała.

– Jeden z warzywnych – odparł.

– A tamten? – spytała, wskazując przez drugie drzwi.

– Inny ogród warzywny. Po tamtej stronie muru jest jeszcze jeden, a z tamtej strony sad.

– Mogę tam iść? – spytała Mary.

– Jak się podoba. Ale nie ma nic ciekawego.

Mary nie odpowiedziała. Doszła do końca ścieżki przez drugie zielone drzwi. Tam było więcej murów i warzyw, i okien inspektowych, ale w murze była znów zielona furтка, tym razem zamknięta. A może tam był ów ogród, w którym od dziesięciu lat nikt nie był? Ponieważ Mary nie była wcale dzieckiem trwożliwym, a robiła zawsze, co chciała, więc podeszła do furtki i nacisnęła klamkę. Spodziewała się, że drzwi się nie otworzą, bo chciała mieć pewność, że znalazła tajemniczy ogród – lecz drzwi otworzyły się z łatwością i Mary znalazła się w dużym sadzie. Wokoło był mur, drzewa owocowe rozpięte i inne, nagie obecnie wśród poźółkłej trawy, ale drugiej zielonej furtki widać nie było. Mary rozglądała się, szukając jej; wszakże gdy wchodziła z tamtego końca ogrodu, zauważyła, że mur nie kończy się tam, gdzie sad, lecz ciągnie się dalej, jakby oddzielał znów ogród inny po tamtej stronie. Dostrzegła zresztą wierzchołki drzew ponad murem, a stojąc cicho, ujrzała na najwyższym z nich

ptaszka z jasnym czerwonym upierzeniem na piersiach, który zaraz uderzył w śpiew swój zimowy – zupełnie jak gdyby ją dostrzegł i jakby ją wołał.

Stała i zaczęła słuchać, a jego miły, przyjacielski jakiś świergot rozbudził w niej dziwne uczucia i choć było z niej takie niemiłe dziecko, ale przecież samotne, a ów wielki zamknięty dom, wielkie, puste wrzosowiska, wielkie, puste ogrody przejęły ją uczuciem, że jest samiuteńka na tym wielkim świecie. Gdyby była czułym, tkliwym dzieckiem, mogło jej serce pęknąć z żalu, ale choć była tylko „panną Mary kapryśnicą”, przecież czuła się strasznie smutna, a ta ptaszyna patrzyła na jej skwaszoną twarzyczkę jakby z uśmiechem. Mary słuchała dopóty, dopóki ptaszek nie pofrunął. Nie był on podobny do indyjskich ptaszków, podobał się dziewczynce i ciekawa była, czy też go jeszcze kiedy zobaczy. A może ptaszek mieszka w tajemniczym ogrodzie i wie wszystko o nim?

Być może, że Mary tak dużo myślała o opuszczonym ogrodzie, nie mając nic do roboty. Była strasznie ciekawa i chciała zobaczyć, jak wygląda. Dlaczego pan Archibald Craven klucz zagrzebał? Jeśli tak bardzo kochał żonę, dlaczego nienawidził jej ogrodu? Ciekawa była, czy wuja kiedy zobaczy, ale wiedziała, że jeśli go zobaczy, to go lubić nie będzie, a i on jej nie będzie lubił; a ona stanie, będzie patrzyła na niego, ani słówkiem się nie odezwie, choć co prawda miałaby straszną ochotę zapytać go, dlaczego taką dziwną rzecz zrobił.

„Mnie nikt nie lubi i ja nikogo nie lubię – myślała – i nie

umiem paplać tak jak dzieci Crawfordów. Te wiecznie gadały, śmiały się i hałasowały”.

Myślała o gilu i o tym, że zaśpiewał tak jakby dla niej umyślnie, a kiedy przypomniała sobie czubek drzewa, na którym siedział, stanęła nagle na ścieżce.

„Jestem pewna, że to drzewo jest w tajemniczym ogrodzie, jestem całkiem pewna” – rzekła do siebie. Był tam przecież mur, a nie było furtki.

Wróciła do pierwszego ogrodu warzywnego i zastała tam starego zajętego kopaniem. Podeszła, stanęła przy nim i po swojemu – chłodno – zaczęła mu się przyglądać. Nie zważał na nią, więc go zagadnęła:

– Byłam w tamtych ogrodach.

– Nic nie stało na przeszkodzie – odparł szorstko.

– Byłam w sadzie.

– A toć tam pies przy drzwiach nie siedzi, żeby gryźć – odrzekł.

– Ale tam już nie było furtki do tego innego ogrodu – rzekła Mary.

– Do jakiego ogrodu? – powiedział ostro, przerywając na chwilę kopanie.

– No, do tego po tamtej stronie muru – odparła Mary. – Tam są drzewa, widziałam czubki. A ptaszek z czerwonym gardziołkiem siedział na jednym wierzchołku i śpiewał.

Ku swemu zdumieniu Mary spostrzegła, że szorstka, zmarszczkami poorana twarz zmieniła od razu wyraz. Słaby

uśmiech rozlał się na obliczu i stary ogrodnik zmienił się do niepoznania<sup>19</sup>. Przyszło jej na myśl, o ile ładniej się wygląda z uśmiechem na ustach. Nie pomyślała nigdy o tym.

Ogrodnik zwrócił się ku sadowi i zaczął gwizdać cichutko, łagodnie. Nie mogła pojąć, jak taki szorstki człowiek mógł umieć tak łagodnie wabić.

W tejże chwili stało się coś zadziwiającego. Usłyszała cichy lot w powietrzu. Był to ptaszek z czerwonym gardziółkiem, który opuścił się na ziemię i usiadł na grudzie ziemi tuż przy nogach ogrodnika.

– Jesteś tu! – zaśmiał się stary, po czym zaczął przemawiać do ptaszka jak do dziecka.

– Gdzieś to bywał, łobuzie jeden? Długoś się jakoś nie pokazywał. Jużes to na zalecanki wyleciał tak wcześnie? Żony sobie szukasz?

Ptaszek główkę w bok przechylił i patrzył na starego, a oczki mu świeciły, jak duże, ciemne rosy perełki. Miało się uczucie, że to ptaszyna bardzo oswojona, nietrwożliwa zupełnie. Skakał z grudki na grudkę, dziobał zawzięcie, szukając ziarek i owadów. Dziwne uczucie zrodziło się w serduszkach Mary, taki był śliczniuchny i tak zdawał się podobny do ludzi. Był drobny, ale tłuścioszek, dziób miał cienki i wysmukły, cienkie nóżki.

– Czy on przylatuje zawsze, gdy go zawołacie? – zapytała szeptem.

– A jeszcze by też przylecieć nie miał! Znam tego łobuza, jak

---

<sup>19</sup> *do niepoznania* – dziś raczej: nie do poznania. [przypis edytorski]

to jeszcze wypierzone nie było. Wyleciał z gniazda w tamtym ogrodzie, przeleciał przez mur, ale był za słaby jeszcze, żeby pofrunąć z powrotem i od tego czasu datuje się nasza przyjaźń. A potem, gdy po kilku dniach do gniazda wrócił, było ono już puste, więc znowu przyleciał do mnie.

– A co to jest za ptaszek? – spytała Mary.

– Nie widzi to panienka? To gil z czerwoną szyjką, a gile to najmilsze ptaszki pod słońcem. Przywiązują się też jak psy, o ile się umie z nimi postępować. Niech no panienka spojrzy, jak on dziobie, a kręci się, a na nas ciągle spogląda. Wie, bestia, że o nim mowa.

Nie było chyba nic zabawniejszego jak widok starego. Patrzył on na małego, pękatego ptaszka, jakby go kochał, a jednocześnie dumny był z niego.

– Strasznie, szelma, próżny! – zaśmiał się znowu. – Lubi okrutnie, jak się o nim mówi. A ciekawy! Bóg świadkiem, że chyba nie ma drugiego takiego na świecie ciekawskiego i wścibskiego. Zawsze mi tu przyleci zobaczyć, co sieję albo sadzę. On i to wie, czego pan Craven nie wie. Tak, to naczelny ogrodnik, tak, tak.

A gil skakał, dziobał, przystając od czasu do czasu i przyglądając się tym obojgu. Mary zdawało się, że ptaszek przygląda jej się z szczególną ciekawością. I doprawdy tak wyglądało, jakby się wszystkiego o niej chciał dowiedzieć. Dziwne uczucie wzrastać poczęło w sercu dziewczynki.

– A gdzie poleciały te drugie ptaszki z gniazdka? – zapytała.

– Nie wiadomo. Stare wyganiają młode z gniazda i każą im latać, i rozpierzchnie się to też nie wiadomo gdzie. Ten tutaj to mądrała, wiedział, że jest sam.

Panna Mary podeszła bliżej do ptaszka, spojrzała na niego twardo i rzekła:

– Jestem sama.

Przedtem nie zdawała sobie sprawy, że to było główną przyczyną, dlaczego czuła się skwaszoną i w złym humorze. Nabrała tego przeświadczenia dopiero teraz, pod wpływem wzroku gila i gdy sama nań patrzyła.

Stary ogrodnik poprawił czapkę na łysinie, popatrzył na nią i rzekł:

– To panienka jest ta mała, co to przyjechała z Indii?

Mary potakująco skinęła głową.

– Nie dziw, w takim razie, że panienka sama. Później, kiedy panienka będzie większa, to będzie jeszcze więcej sama – powiedział.

Począł znów kopać, zagłębiając łopatę mocno w tłustą, czarną ziemię, podczas gdy gil, zajęty ogromnie, obskakiwał dokoła.

– Jak się nazywacie? – dopytywała Mary.

Przerwał robotę, by dać odpowiedź:

– Ben Weatherstaff – odparł, a potem z dziwnym grymasem dodał – Jam też jestem sam, chyba że ten do mnie przyjdzie – i wskazał palcem na gila. – To mój jedyny przyjaciel.

– Ja wcale nie mam przyjaciół i nigdy nie miałam. Nawet moja niania mnie nie lubiła i nigdy się z nikim nie bawiłam –

opowiadała Mary.

W Yorkshire panuje zwyczaj, żeby prawdę mówić ostro, bez ogródek, a że Ben Weatherstaff był rodem z Yorkshire, więc odparł:

– My oboje, niby panienka i ja, to sobie podobni jesteśmy. Jesteśmy ulepieni z tej samiutkiej gliny. Oboje urodziwi nie jesteście, ale za to skwaszeni, nieprzyjemni tak, jak nam to z oczu patrzy. No i idę o zakład, mamy równie niemiły charakter.

Powiedziane to było prosto z mostu, a Mary dotąd nie słyszała nigdy prawdy o swej osobie. Tam, w Indiach, służba biła jej pokłony i przytakiwała jej we wszystkim. Dziewczynka nie zastanawiała się nigdy nad swoim wyglądem i ciekawa była, czy rzeczywiście jest tak mało ponętna jak Ben Weatherstaff, i ciekawa była również, czy wygląda taka skwaszona jak ogrodnik zanim gil przyfrunął. Zaczęła się także zastanawiać, czy i ona miała „niemiły charakter”. Zrobiło jej się nieprzyjemnie.

Naraz cichy, łagodny tryl zabrzmiał tuż przy niej. Odwróciła się i stanęła w pobliżu młodej jabłoni, a gil, usiadłszy na jednej z jej gałązek, w piosenkę swoją zadzwonił. Ben Weatherstaff szczerze się zaśmiał.

– Czemu on tu przy mnie tak śpiewa? – spytała Mary.

– Chce się z panienką zaprzyjaźnić – odparł Ben. – Głowę daję, że się w paniencie zakochał.

– We mnie? – spytała Mary i łagodnym ruchem odwróciła się ku drzewu i spojrzała.

– Chcesz być moim przyjacielem? – zwróciła się do ptaszka

jak do człowieka. – Chcesz? – A nie wyrzekła tych słów swoim szorstkim głosem, na swój sposób rozkazujący, lecz tak słodko, szczerze, tak wabiąco, że z kolei Ben Weatherstaff był niemniej zdziwiony niż Mary, gdy usłyszała jego gwizdanie.

– Hej! – wykrzyknął. – Tak to panienka ślicznie i po ludzku powiedziała, jakby panienka była prawdziwym dzieckiem, a nie starą, zgryźliwą babą. Powiedziała panienka tak, jak Dick przemawia do swoich zwierzątek na wrzosach.

– To wy znacie Dicka? – spytała Mary, rażno zwracając się ku staremu.

– A kto by go nie znał! Toć on wszędzie łązi. Nawet jeżyny dzikie i kwiatki wrzosów go znają. Założę się, że mu lisy mówią, gdzie się ich młode znajdują, a pasikoniki gniazda mu swoje pokazują.

Mary miała wielką ochotę pytać dalej. Była tak zaciekawiona Dickiem, jak tajemniczym ogrodem. Lecz w tejże chwili gil śpiew swój urwał, rozwinął skrzydełka z trzepotem i odfrunął. Wizytę złożył – miał teraz inne zajęcia.

– Przeleciał przez mur! – zawołała Mary, śledząca lot ptaszka. – Teraz poleciał do sadu. O, a teraz przez drugi mur do tego ogrodu, do którego nie ma furtki!

– Bo on tam mieszka i tam się z jajka wyklął. Jeżeli sobie poszuka żony, to tylko tam, między młodymi pannami gilskimi, które mieszkają w starych krzakach róż.

– W krzakach róż? To tam są róże? – spytała Mary. Ben Weatherstaff chwycił za łopatę i na nowo kopać począł.

– A były dziesięć lat temu – zamruczał.

– Chciałabym zobaczyć te róże – powiedziała Mary. – Gdzie jest zielona furtka? Gdzieś przecież być musi.

Ben łopatę w ziemię zatknął i wyglądał tak niemiło, jak na początku ich znajomości.

– A była, była dziesięć lat temu, ale teraz nie ma – powiedział.

– Furtki nie ma? Musi być! – zawołała Mary.

– Nie ma i nikt nie znajdzie, i nikomu nic do tego. Niech panienka nie będzie wścibska i nie wtyka nosa w nieswoje rzeczy. No, a teraz do roboty! Niech panienka idzie się bawić. Nie mam już czasu.

Potem zarzucił sobie łopatę na ramię i odszedł, nie spojrzawszy nawet na dziewczynkę.

## Rozdział V. Krzyk w korytarzu

Z początku wszystkie dni były dla Mary Lennox podobne do siebie. Każdego ranka budziła się w swoim pokoju obwieszonym tkaninami i zawsze spostrzegła przed kominkiem Martę rozniecającą ogień; każdego ranka zjadała śniadanie, ale ani odmiany żadnej, ani nic zabawnego w tym nie było. Po śniadaniu patrzyła oknem na rozległy step, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, a patrząc tak, przychodziła z wolna do wniosku, że jeśli nie wyjdzie na dwór, to będzie musiała siedzieć w pokoju i nic nie robić. To ją niewoliło do wyjścia. Nie wiedziała o tym, że nie mogła zrobić nic lepszego, nie wiedziała również, że w miarę, jak biegała po ścieżkach i alejach, krew szybciej poczynała krążyć w jej żyłach, a walka z wiatrem, wiejącym od strony stepu, siły jej wyrabiała. Biegała po to tylko, by się zagrzać, a nie cierpiała wichru, który jej dał prosto w twarz i wył, i w biegu zatrzymywał jak olbrzym jakiś niewidzialny. Ale owe podmuchy ostrego, świeżego powietrza płynącego z nad wrzosów napełniały jej płuca czymś bardzo zbawiennym dla całej jej wątłej postaci, napędzały kolory na twarzyczkę i rozszerzały, i rozjaśniały jej smętne dawniej oczy.

Po kilku dniach całkowicie niemal spędzonych na dworze, Mary zbudziła się pewnego ranka z uczuciem silnego głodu, a gdy zasiadła do śniadania, nie patrzyła już obojętnie na kaszę, nie odsunęła jej od siebie, lecz wzięła łyżkę i jadła, aż się uszy

trzęsły, a talerz opróżnił.

– Dzisiaj to się panienska ładnie uwinęła. Czy nie? – rzekła Marta.

– Tak mi dzisiaj smakuje – odparła Mary, nieco jednak zdziwiona.

– To powietrze stepowe taki panience dało apetyt – rzekła jej Marta. – Jaka panienska szczęśliwa, że jak ma apetyt, to ma i co jeść. Nas tam dwanaścioro w chacie i żołądki mamy zdrowe, a nie ma co w nie włożyć. Niech no panienska co dzień wychodzi pobawić się, to i przytyje panienska, i taka żółta nie będzie.

– Ja się nie bawię – odparła Mary. – Nie mam się czym bawić.

– Nie ma się panienska czym bawić? – wykrzyknęła Marta.

– Nasze dzieci bawią się drewnkami i kamykami. Biegają jak opętane, a pokrzykują, a przyglądają się wszystkiemu.

Mary nie pokrzykiwała, ale się przyglądała. Nie miała zresztą nic innego do roboty. Chodziła po ogrodach i dziwiła się różnym rzeczom w parku. Kilka razy poszła do starego ogrodnika, lecz Ben Weatherstaff był zbyt zajęty zawsze, by na nią choć spojrzeć, albo też w zbyt złym humorze. Pewnego zaś razu, gdy Mary szła ku niemu, wziął łopatę na plecy i odszedł w drugą stronę – zupełnie jakby umyślnie.

W jedno miejsce chodziła częściej, niż gdzie bądź. Była to przestrzeń poza ogrodami, zewsząd otoczona murem. Pod murami wszędzie były puste obecnie klomby, a mur obrośnięty był gęsto bluszczem. Na jednej części muru ciemna zieleń wijących się roślin była wiele gęściejsza niż wszędzie. Tak to

wygłądało, jakby ta część od dawna była zaniedbana. Bluszcz był wszędzie porządnie, równo przyszczyżony, a tutaj, na końcu muru zupełnie musiał nie być równany od dawna.

W kilka dni po rozmowie z ogrodnikiem zauważyła to Mary i poczęła się zastanawiać, dlaczego tak było. Zatrzymała się tu właśnie i patrzyła na długą odnogę bluszczu, bujającą się na wietrze, gdy ujrzała małą, czerwoną plamkę i usłyszała srebrzysty tryl, a tam wysoko na murze dostrzegła gila z czerwoną szyjką, pochylonego naprzód, z główką na bok przechyloną, jakby się jej chciał przyjrzeć.

– Och! – zawołała. – Tyżeś to, ty?

I nie wydało jej się dziwnym zupełnie, że przemawiała do ptaszka, jakby pewna była, że ją zrozumie i odpowie.

I ptaszek odpowiedział. Ćwierkał i gwizdał, i skakał po murze, jakby jej chciał opowiadać. Mary zdawało się, że go rozumie, choć słowami nie mówił. A gil jakby mówił:

– Dzień dobry! Prawda, że miły wiaterek? A słońce jakie cudne! Prawda, że wszystko ładne? Ćwierkajmy zatem oboje i poskaczmy sobie. Chodź ze mną, chodź!

Mary zaczęła się śmiać, a w miarę jak gil skakał i przelatywał z miejsca na miejsce, dziewczynka biegła za nim. Biedna mała, drobna, bledziutka, brzydka Mary wyglądała w tej chwili bardzo ładniutko.

– Lubię cię, strasznie cię lubię! – wołała Mary, tupocąc po ścieżce; i ćwierkała, i próbowała gwizdać, ale tak naprawdę, to gwizdać nie umiała. Lecz gil był zupełnie kontent z niej i

ćwierkał, i gwizdał ku niej jak w odpowiedzi. Wreszcie rozwinął skrzydełka i w błyskawicznym locie znalazł się na wierzchołku drzewa, skąd w rozgłośny śpiew uderzył.

To przywiodło Mary na pamięć ów pierwszy raz, gdy go zobaczyła. Wtedy też siedział na czubku drzewa, a ona była w sadzie. W tej chwili była ona po drugiej stronie sadu, stała na ścieżce zewnątrz muru, wiele niżej – a poza murem było to samo drzewo.

– Oto ogród, do którego nikt nie wchodzi – powiedziała do siebie. – To ten ogród bez drzwi. On tam mieszka. Ach, Boże! żeby ja mogła zobaczyć, jak tam jest!

Pobiegła ścieżką do owej zielonej furtki, przez którą przeszła pierwszy raz do ogrodu, później ścieżką do drzwi następnych. Wbiegła do sadu, a spojrzawszy ku górze, spostrzegła po tamtej stronie muru to samo drzewo, a gil, siedząc na wierzchołku, ukończył był właśnie piosenkę i czyścił piórka dzióbkiem zawzięcie.

– Tak, to ten ogród – rzekła do siebie. – Jestem teraz całkiem pewna.

Obeszła cały mur dokoła od strony sadu, ale dostrzegła tylko to, co wpraw, że w murze tym nie było drzwi.

„To bardzo dziwne – pomyślała. – Ben Weatherstaff powiedział, że nie ma żadnych drzwi, no i nie ma. A jednak musiały być przed dziesięciu laty, skoro pan Craven zagrzebał klucz”.

Tak ją te myśli zajęły, tak ją pochłonęły całkowicie, że

poczuła się w wiele lepszym humorku i nie gniewała się wcale, że przyjechała do Misselthwaite Manor. W Indiach było jej zawsze za gorąco i czuła się zawsze zmęczona i nie chciało jej się nic robić. Faktem było, że świeży powiew stepowego wiatru oczyszczał jej płuca i począł ją budzić do życia.

Cały dzień prawie była na dworze, a kiedy zasiadła do kolacji wieczorem, poczuła się głodna, śpiąca i było jej z tym dobrze. Nie gniewała się wcale, gdy Marta bezustannie gadała. Co dziwniejsza, poczuła, że słucha jej z przyjemnością, w końcu postanowiła zadać jej pytanie. Po skończonej kolacji zatem, usiadłszy przed kominkiem, spytała:

– Dlaczego pan Craven nie cierpi tego ogrodu?

Prosiła Martę, żeby z nią została, i Marta nie robiła trudności. Była ona młoda jeszcze bardzo, przyzwyczajona do ożywionej gwarnej chatki pełnej małego rodzeństwa i czuła się smutna w ogromnym hallu dla służby, gdzie lokaje i starsze służące naśmiewały się z jej mowy, uważając ją za coś gorszego, i gwarzyli tylko między sobą. Marta była gadulską, a to dziwne dziecko przybyłe z Indii, gdzie jej służyli „czarni”, było dla niej nowością podniecającą jej ciekawość.

Usiadła teraz obok Mary przed kominkiem, nie czekając, aż ją upoważnią.

– Ciągłe panience ten ogród w głowie? – spytała. – Wiedziałam ja, że tak będzie. Tak samiuśko było ze mną, jakem się o tym dowiedziała<sup>20</sup>.

---

<sup>20</sup> *jakem się (...) dowiedziała* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika;

– Dlaczego on go tak nie cierpi? – nalegała Mary.

Marta podłożyła nogę pod siebie i usadowiła się wygodnie.

– Niech no panienka posłucha, jak wiatr od stepu wyje. Żeby panienka była teraz na wrzosach, to by się pewno nie utrzymała na nogach.

Mary zaczęła nasłuchiwać i zrozumiała, co to jest wycie wichru. Były to owe świszczące poszumy, co hulały wokoło domu, jakby jakiś olbrzym niewidzialny bił w mury i okna, usiłując dom rozwalić. Ale miało się pewność, że się do wnętrza mimo wszystko nie dostanie, a przy tym uczucie, że dobrze tu pewno i zacisznie w tym pokoju z ciepłym ogniem na kominku.

– Ale mi powiedz, czemu on tak nie cierpi tego ogrodu? – spytała dziewczynka, chcąc wymiarkować, czy Marta wie czemu, czy nie wie.

Tu Marta zaczęła opowiadać wszystko, co wiedziała.

– Ale muszę panience powiedzieć, że pani Medlock zakazała mówić o tym. Tutaj jest wiele ważnych spraw, o których mówić nie wolno. Taki jest rozkaz jaśnie pana. Jego troski nic nie obchodzą służbę: nie wolno nam do nich się wtrącać. A to wszystko przez ten ogród, że pan taki się zrobił. To był ogród pani, zaraz jak się pobrali, i pani strasznie ten ogród lubiła, i zawsze państwo na wiosnę razem kwiatki sadzili. Żadnemu ogrodnikowi nie wolno było wchodzić. Państwo razem sobie wchodzili, zamykali drzwi na klucz i tak całe godziny siedzieli, a rozmawiali, a czytali. A pani to taka była jak paniątko jakie

młodzianki, a w ogrodzie była ławeczka, a drzewo stare jedno gałęzie nad nią zwieszało. A pani pnącymi różami obsadziła drzewo, a na ławeczce pod nim siadać lubiła. Ale jednego razu, jak tam siedziała, złamała się gałąź i pani na ziemię upadła, i tak się strasznie uderzyła, że na drugi dzień umarła. Doktorzy to mówili, że pan pewno zmysły straci i też za nią pójdzie. I tak teraz pan tego ogrodu cierpieć nie może. I już od tego czasu nikt tam nie był, a nawet mówić o tym nie wolno.

Mary nie pytała już więcej. Patrzyła w ogień na kominku i słuchała wycia wiatru, który zdawał się dąć ze zdwojoną siłą i wściekłością.

W tej chwili stało się z nią coś dobrego. Odkąd przybyła do Misselthwaite Manor, był to czwarty dodatni fakt, jaki jej się wydarzył. Najpierw zdawało jej się, że zrozumiała i zrozumiana była przez ptaszka; po wtóre, nauczyła się biegać i walczyć z wiatrem, co jej krew w żyłach poruszyło i rozgrzało; następnie poczuła się pierwszy raz w życiu głodna i wreszcie poznała, co to znaczy kogoś serdecznie żałować. Mary robiła postępy.

Lecz przysłuchując się teraz wichrowi, poczęła uchem łowić inne odgłosy. Zrazu nie zdawała sobie sprawy, co to być może, gdyż głosy te zaledwie odróżnić mogła od wycia wiatru. Dziwne to jakieś były dźwięki – był to jakby jakiś daleki płacz dziecka. Wprawdzie jęki wiatru podobne były niekiedy do płaczu, lecz tym razem Mary była zupełnie pewna, że głosy pochodziły z wnętrza domu – nie z zewnątrz. Było to gdzieś daleko, ale było z domu. Odwróciła się i spojrzała prosto w twarz Marty:

– Słyszysz? Ktoś płacze – rzekła.

Marta się zmieszała.

– Nie – odparła – to wiatr. Czasem to się tak zdaje, jakby się ktoś w stepie zagubił, a jęczał. Wiatr to potrafi na różne tony świszcząć.

– Ależ posłuchaj dobrze – rzekła Mary. – Wszakże to ktoś w domu płacze, to na jednym z tych korytarzy.

I w tejże chwili musiał ktoś jakieś drzwi na dole otworzyć, bo straszny przeciąg na korytarzu otworzył z łoskotem drzwi pokoju, w którym siedziała Mary, i obie z Martą skoczyły na równe nogi, lampa zgasła, a przeszywający krzyk na korytarzu dał się słyszeć zupełnie wyraźnie.

– No widzisz! – rzekła Mary. – Przecież ci mówiłam! Ktoś tu płacze, a to nie jest płacz dorosłej osoby.

Marta pobiegła, zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku, lecz zanim to zrobiła, usłyszały obie trzask zamykanych drzwi gdzieś na jednym z owych długich korytarzy, po czym wszystko ucichło, bo nawet wiatr uspokoił się na kilka minut.

– To wiatr jęczał – uparcie dowodziła Marta. – A jeżeli nie wiatr, to pewno mała Betty Butterworth, ta z kuchni, bo ją dzisiaj cały dzień strasznie zęby bolały.

W głosie mówiącej czuć było jednak coś nienaturalnego, jakby przymus, tak że Mary spojrzała na nią przenikliwie. Nie wierzyła w prawdę tego, co mówiła Marta.

## Rozdział VI. „A jednakże ktoś płakał”

Dnia następnego padał od samego rana ulewny deszcz i step osłonięty był gęstą, nieprzeniknioną szatą mgły. O wyjściu na dwór, o spacerze mowy być nie mogło.

– Cóż wy robicie w domu, gdy tak strasznie pada? – zagadnęła Mary Martę.

– Ano, musimy najpierw uważać, żeby się nie pognieść – odparła Marta. – Ojoj! Jak też nas wtedy wydaje się wiele! Matka jest zawsze pogodna, ale wtenczas to mówi, że już i głowę można stracić. Starsi to idą się bawić do obory. Dick to na deszcz nie zważa. Wychodzi sobie jakby w pogodę. On mówi, że jak deszcz pada, to można widzieć przeróżne rzeczy, których się w pogodne, słoneczne dni nie ujrzy. Raz to znalazł młodego liska na poły zatopionego w jamie, więc go wziął i na piersiach za bluzę włożył, żeby go ogrzać, i do domu przyniósł. Starą liszkę niedaleko od jamy zabito, a jamę zalała woda z deszczu i resztę lisiąt zatopiła. Teraz go sobie w domu chowa. Innym razem znalazł młodą, też na pół zatopioną wronę i także do domu przyniósł i oswoił. Wrona się nazywa „Sadza”, bo strasznie czarna, a skacze i lata za nim wszędzie.

I przyszła chwila, że Mary zapomniała oburzać się na poufałe gadulstwo Marty. Poczęła nawet w nim smakować, a była bardzo niekontenta, gdy Marta przerywała lub wychodziła z domu. Bajki, które jej opowiadała Ayah w Indiach, różne były zupełnie

od opowieści Marty o chacie wśród stepu i o czternaściorgu ludziach, którzy mieszkali w maleńkich czterech izdebkach i nigdy dosyć do jedzenia nie mieli. Dzieci skakały jak gromadka dzikich, pocziwych kózek. Mary czuła najwięcej sympatii do matki i Dicka. Wszystko to, co Marta opowiadała o „matce”, było jakieś miłe i pocziwe.

– Ja bym się też chętnie pobawiła z młodym liskiem albo wroną – rzekła Mary. – Ale nic nie mam!

Marta spojrzała z ogromnym zdziwieniem.

– Umie panienka robić pończochę? – spytała.

– Nie – odparła Mary.

– A szyć?

– Nie.

– No, a czytać?

– Umiem.

– To czemuż sobie panienka nie poczyta albo się nie pouczy trochę? Panienka już duża, powinna by się uczyć!

– Kiedy bo widzisz, nie mam książek – odparła Mary. – Te, które miałam, pozostały tam, w Indiach.

– O, to szkoda! – rzekła Marta. – Dobrze by było, gdyby pani Medlock pozwoliła panience pójść do biblioteki. Tam dopiero moc książek!

Mary nie zapytała, gdzie się znajduje biblioteka, bowiem natknęła ją myśl nowa. Postanowiła sobie sama pójść ją znaleźć. Mniejsza o panią Medlock! Toż siedziała ona ciągle na dole, w swoim wygodnie urządzonej saloniku. W tym dziwnym domu

rzadko się kogoś widziało. W ogóle widywało się tylko służbę, która pod nieobecność pana żyła jak u Pana Boga za piecem; pomieszczeniem ich była ogromna kuchnia z błyszczącymi rondlami i równie olbrzymia sala, gdzie jadali pięć razy dziennie bardzo obficie, a baraszkowali wesoło, gdy pani Medlock nie było.

Posiłki Mary podawane były regularnie. Usługiwała jej Marta, lecz poza tym nikt się o nią zupełnie nie troszczył. Pani Medlock odwiedzała ją codziennie lub co drugi dzień, lecz nikt nie spytał o to, co robi, nikt jej nie rozkazał, co ma robić. Mary myślała, że to może angielski sposób wychowania dzieci. W Indiach uważała wciąż na nią Ayah, która jej towarzyszyła wszędzie i obsługiwała na każdym kroku. Nieraz dziewczynka była zmęczona jej towarzystwem. Teraz nikt za nią nie chodził, co więcej: uczyła się sama ubierać się, gdyż Marta patrzyła na nią jak na wariata albo głuptasa, kiedy sobie kazała podawać lub kłaść na siebie to i owo.

Pewnego razu, kiedy Mary stała, czekając, aż jej Marta rękawiczki nałoży, ta wykrzyknęła:

– Czy panienka ma źle w głowie? Nasza Zuzia jest dwa razy dzielniejsza od panienki, a ma dopiero cztery lata. Czasem to mi się coś zdaje, że panienka nie ma całkiem dobrze w głowie.

Mary dąsała się potem przez godzinę, lecz dało jej to znów całkiem nowe myśli.

Ranka tego, gdy Marta, wyczyściwszy kominek, wyszła z pokoju, Mary stała czas pewien przy oknie. Myślała o tym, co jej

przez głowę przeszło, gdy usłyszała o bibliotece. Nie chodziło jej znów tak bardzo o bibliotekę, bo w ogóle mało jeszcze czytała; lecz wzmianka o bibliotece przywiodła jej na pamięć owych sto pokoi o drzwiach zamkniętych. Ciekawa była, czy wszystkie są doprawdy zamknięte i co by było, gdyby mogła się do którego z nich dostać. Czy też ich było rzeczywiście aż sto? Czemuż by nie miała pójść i porachować drzwi? W każdym razie będzie miała zajęcie, skoro nie może wyjść do ogrodu. Nie zwykła była<sup>21</sup> ona prosić o pozwolenie, by móc coś zrobić, nie miała pojęcia, co to jest „zwierzchność”, toteż na myśl jej nie przyszło prosić panią Medlock o pozwolenie chodzenia po domu, nawet gdyby ją była widziała<sup>22</sup>.

Otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i zaczęła wędrówkę. Był to długi bardzo korytarz, rozgałęziający się w kilku kierunkach; przechodzić musiała różne schodki, raz w górę, to znów na dół wiodące. Drzwi i drzwi bez końca – na ścianach mnóstwo obrazów. Czasem były to ciemne, poczerniałe pejzaże, lecz najczęściej było portretów mężczyzn i kobiet w dziwnych, pysznych strojach z aksamitu i atlasu. Wreszcie Mary ujrzała się w długiej galerii, której ściany zawieszono były całkowicie portretami. Nie przypuszczała, żeby w jednym domu mogło ich być aż tyle. Wolno szła przez galerię, przyglądając się wszystkim

---

<sup>21</sup> *nie zwykła była* – konstrukcja daw. czasu zaprzeszłego, tj. wyrażająca czynność wcześniejszą od tej wyrażonej zwykłym czasem przeszłym. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *była widziata* – konstrukcja daw. czasu zaprzeszłego, tj. wyrażająca czynność wcześniejszą od tej wyrażonej zwykłym czasem przeszłym. [przypis edytorski]

twarzom, które ze swej strony zdawały się spoglądać na nią. Mary miała uczucie, że chcieliby wiedzieć, co tutaj wśród nich robi ta mała dziewczynka, która przybyła z Indii. Niektóre portrety przedstawiały dzieci – małe dziewczynki w ciężkich jedwabnych sukniach, sięgających im aż do stóp i szeroko odstających, chłopców z bufiastymi rękawami, kolorowymi kołnierzami, długimi lokami lub z kryzami naokoło szyi. Mary zatrzymywała się przed portretami dzieci i byłaby chciała wiedzieć ich imiona, kto byli, dokąd odeszli i dlaczego tak dziwnie byli ubrani. Była tam między innymi mała, sztywna dziewczynka, bardzo do Mary podobna. Miała suknię z zielonej brokateli, a na rękę trzymała zieloną papużkę. Oczy jej miały przenikliwy, ciekawy wyraz.

– Gdzie teraz jesteś? – głośno spytała Mary. – Bardzo bym chciała, żebyś była tutaj.

Pewno żadne dziecko jeszcze nie spędziło tak dziwnego poranka. Zdawać by się mogło, że w tym ogromnym, dziwnym domu nie ma żyjącej istoty prócz małej Mary, wędrującej w górę i na dół, szerokimi i wąskimi korytarzami, po których, jak jej się zdawało, nikt prócz niej nigdy nie chodził. Skoro zbudowano aż tyle pokoi, to przecież musieli tu ludzie mieszkać, lecz teraz było tu tak pusto, że się Mary w głowie nie chciało pomieścić, żeby to wszystko mogło być prawdą.

Dopiero gdy dotarła na drugie piętro, dziewczynka pomyślała o naciśnięciu klamki. Wszystkie drzwi były zamknięte, jak powiedziała pani Medlock, lecz w końcu Mary położyła rączkę na klamce i nacisnęła. Na chwilę strach ją opanował, bowiem

poczuła, że klamka otwiera się bez trudności, a gdy popchnęła drzwi, otworzyły się one z wolna. Były to ciężkie, masywne drzwi, prowadzące do wielkiej sypialni. Były tam haftowane portiery, a meble inkrustowane<sup>23</sup>, jakie widziała w Indiach, stały w pokoju. Szerokie, staroświeckie okno z małymi, w cynę oprawnymi szybkami, otwierało widok na step; zaś nad kominkiem był drugi portret owej małej, sztywnej dziewczynki, która zdawała się patrzeć na Mary więcej jeszcze zdziwiona.

„Może ona tutaj niegdyś sypiała – pomyślała Mary. – Patrzy na mnie, aż mi się nieprzyjemnie robi”.

Po czym zaczęła otwierać drzwi jedne po drugich. Widziała taką moc pokoi, że ją to zmęczyło, i pomyślała, że pewnie ich jest sto, choć ich zliczyć nie mogła. A we wszystkich prawie były stare obrazy i stare makaty i gobeliny o bogatych wzorach.

W jednym pokoju, który miał wygląd buduaru, portrety były z haftowanego cudnie welwetu, a w szklanej gablotce znajdowało się sto słoni z kości słoniowej. Były one różnych rozmiarów, niektóre miały na grzbiecie palankiny<sup>24</sup> lub ujeżdżaczy swych Hindusów. Jedne były bardzo duże, inne mniejsze, niektóre zaś tak małe, że wyglądały jak dzieci. Mary widziała rzeźby z kości słoniowej w Indiach, a o słoniach wiedziała wszystko. Otworzyła drzwi gabloty, weszła na stołeczek i długo, długo się bawiła. Gdy

---

<sup>23</sup> *inkrustowany* – zdobiony techniką **inkrustacji**, polegającą na wydrążaniu wgłębień w drewnie i wypełnianiu ich drewnem innego gatunku i koloru, względnie kością słoniową, metalem itp. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *palankin* – zadaszone siedzisko ustawiane na grzbiecie zwierzęcia; rodzaj lektyki. [przypis edytorski]

ją to zmęczyło, ustawiła słonie w porządku i gablotę zamknęła.

Podczas całej swej długiej wędrówki po korytarzach i pustych pokojach nie dostrzegła żywej istoty; lecz tutaj coś dojrzała. Kiedy zamykała gablotę, usłyszała delikatniuchny szelest. Skoczyła, rozejrzała się dokoła i wzrok jej padł na sofkę przed kominkiem, skąd odgłos zdawał się dochodzić. W narożniku sofy była poduszka, a w aksamicie, który ją pokrywał – dziura; z dziury wyglądała para wystraszonych oczek.

Mary ostrożnie podeszła bliżej, by się przyjrzeć. Oczki należały do małej szarej myszki, która wygryzła dziurę w poduszce i wygodnie urządziła sobie mieszkancko. Sześć malutkich myszek skulonych spało obok niej. Jeżeli nikogo tu nie było, było w każdym razie siedem myszek, które na samotne nie wyglądały.

„Żeby się one nie bały, to bym je z sobą zabrała” – pomyślała Mary.

Długo, długo wędrowała, wreszcie poczuła się zbyt zmęczona, by wędrować dalej, i zawróciła z powrotem. Dwa lub trzy razy zmyliła drogę, wszedłszy na inny korytarz, i musiała błądzić, zanim trafiła na właściwy: lecz wreszcie dotarła na swoje piętro, jakkolwiek od swego pokoju była jeszcze daleko i nie wiedziała dobrze, gdzie się znajduje.

– Zdaje mi się, że znów złą drogą idę – rzekła do siebie, przystając, jak jej się zdawało, na końcu krótkiego pasażu z ścianami osłoniętymi makatami. – Teraz nie wiem, w którą iść mam stronę. A, jaka też cisza!

Właśnie kiedy tak stała i wyrzekła te słowa, ciszę przerwały jakieś odgłosy. Był to znów płacz, lecz inny niż w nocy; był to tylko urwany, krótki, zły wrzask niegrzecznego dziecka, stłumiony przez grube mury.

„Teraz to o wiele bliżej było niż wtedy – pomyślała Mary z bijącym serduszkiem. – No i to znów płacz!”

Przypadkowo wsparła się ręką o ścianę pokrytą zasłoną i w tejże chwili odskoczyła przerażona. Zasłona ukrywała drzwi, które się rozwarły i ukazały dalszy ciąg korytarza, a w nim panią Medlock z pękiem kluczy i bardzo zagniewaną miną.

– Co tu panienka robi? – rzekła, biorąc Mary za rękę i pociągając za sobą. – Co panienka ma zapowiedziane?

– Zbłądziłam – tłumaczyła się Mary. – Nie wiedziałam, w którą stronę iść, gdym usłyszała, że ktoś płacze.

Nienawidziła pani Medlock w tej chwili, lecz znienawidziła ją gorzej jeszcze w następnej.

– Nie słyszała panienka żadnego płaczu, ani nic podobnego – rzekła ochmistrzyni. – Proszę zaraz iść do swego pokoju albo dostanie panienka za uszy.

I wzięwszy ją za rękę, ciągnęła za sobą, czasem popychając przez jeden i drugi korytarz, póki jej nie wypchnęła do jej pokoju.

– Teraz proszę siedzieć tam, gdzie panience każe, inaczej zamknie się panienkę na klucz. Pan by powinien dać panience nauczycielkę, jak to zresztą mówił. Panienkę to trzeba bardzo krótko trzymać, a ja mam bez tego dosyć do roboty.

Wyszła, trzaskając za sobą drzwiami, a Mary usiadła przed kominkiem blada z wściekłości. Nie płakała, lecz zgrzytała zębami.

– A jednakże ten ktoś płakał... płakał i już! – rzekła do siebie.

Dwa razy już słyszała, no i dojdzie ona do źródła tego płaczu. W ogóle dużo rzeczy różnych odkryła tego ranka. Miała uczucie, że była w dalekiej podróży; w każdym razie nie nudziła się przez cały ten czas, bawiła się słoniami i widziała szarą myszkę z dziećmi w gniazdku z aksamitnej poduszki.

## Rozdział VII. Klucz od ogrodu

W dwa dni po tym wszystkim Mary, otworzywszy z rana oczy, usiadła niezwłocznie na łóżku i zawołała Martę.

– Spójrz na step! Spójrz! – zawołała.

Deszcz ustał, a szarą mgłę i obłoki w nocy wiatr rozwiął. Wiatr także ucichł, a ponad stepem jaśniała świetna, ciemnoszafirowa kopuła niebios. Mary nigdy, nigdy nie myślała, by niebo mogło być tak szafirowe. W Indiach bywało rozpalone, płomienne; tutejsze miało głęboki, chłodny błękit, niby jeziora bezdenne, a tu i ówdzie, wysoko, wysoko płynęły małe, śnieżno-białe obłoki. Rozległy obraz stepu sam pobłękitniał, porzucając swą ciemną, szaro purpurową, smutną szatę.

– Aha! – rzekła Marta z radością. – Huragan ustał. Zwykle tak bywa o tej porze roku. Jedna noc i już go nie ma, jakby udawał, że nigdy tu nie bywa i być nie myśli.

– A ja myślałam, że w Anglii ciągle pada i ciemno – odparła Mary.

– Oj, co to, to nie! – rzekła Marta, siadając na piętach wśród swych szczotek i czernidła.

– Yorkshire to najśnieczniejsze miejsce na świecie, jak słońce świeci. Zaraz mówiłam, że tylko poczekać trochę, to już panienka stepy polubi. A niech tylko panienka poczeka, aż zakwitnie janowiec i żarnowiec żółty, a wrzosa czerwona, a niech no motylki zaczną latać, a pszczołki brzęczeć, a skowronki

śpiewać! To panienka o wschodzie słońca będzie chciała w step polecieć i dzień cały po nim biegać jak Dick!

– A czy będę mogła tam pójść? – spytała Mary smutno, patrząc przez okno na daleki błękit. Było to dla niej nowe, potężne, przedziwne i tak niebiańsko błękitne!

– Bo ja wiem? – odparła Marta. – Panienka nigdy nóg nie ćwiczyła, odkąd panienka żyje na świecie, tak mi się coś zdaje. Nie uszłaby panienka pięciu mil angielskich. Bo pięć mil jest stąd do naszej chatki!

– Chciałabym bardzo widzieć wasz dom.

Marta ze zdziwieniem i ciekawością spojrzała na nią, po czym zaczęła znów czyścić kominek. Pomyślała sobie, że ta drobna mała twarzyczka nie wygląda wcale na taką skwaszoną jak owego pierwszego ranka, kiedy tu przybyła. Była raczej podobna do małej Zuzi, gdy ta o coś bardzo prosiła.

– Poradzę się matki co do tego – rzekła. – Ona jest jedną z tych, co zawsze wiedzą, jak się do czego wziąć. Dzisiaj moje wychodne i idę do domu. Oj! Jakam też rada! Pani Medlock bardzo matkę szanuje. Może będzie matka mogła z nią pomówić.

– Lubię twoją matkę – rzekła Mary.

– Wierzę – przyznała Marta, nie przerywając czyszczenia.

– Nigdy jej nie widziałam – dodała Mary.

– Wiem – odrzekła Marta.

Usiadła na piętach, potarła koniec nosa ręką, jakby zdziwiona na chwilę, po czym dodała stanowczo:

– Tak, matka jest dobra, pracowita i wesoła, i porządna, że nie

można jej nie lubić, czy ją się zna, czy nie. Jak w moje wychodne idę do domu, to skaczę z radości, jak już na wrzosa wchodzę.

– I Dicka też lubię, a nie widziałam go nigdy – dodała Mary.

– Ano, toć powiedziałam panience – odparła Marta z godnością – że nawet ptaki go lubią i króliki, i owce dzikie, a nawet i lisy. Ciekawa jestem, co by Dick o panience powiedział? – dodała, patrząc na Mary w zamyśleniu.

– Nie lubiłby mnie – powiedziała na swój dawny, szorstki sposób. – Nikt mnie nie lubi.

Marta znów się zamyśliła.

– A czy panienka lubi samą siebie? – zapytała takim tonem, jakby rzeczywiście chciała wiedzieć.

Mary zawahała się chwilkę i zastanowiła się.

– Doprawdy, wcale nie – odrzekła. – Ale nigdy przedtem o tym nie pomyślałam.

Marta skrzywiła się zabawnie, jakby przypominając coś sobie.

– Matka tak do mnie raz powiedziała. Stała przy balii, a ja byłam zła i zaczęłam wygadywać na ludzi, a ona odwraca się do mnie i mówi: „Ty mała czarownico! Co ty sobie myślisz, żeby mówić: »tego nie lubię, a tamtego nie lubię«. A siebie lubisz?”. Roześmiałam się i zaraz się opamiętałam.

W doskonałym humorze pobiegła do domu, skoro tylko podała Mary śniadanie. Miała zrobić pięciomilowy spacer i pomóc matce uprać, i upiec chleba na tydzień, i całą duszą się radować.

Mary pod jej nieobecność czuła się więcej samotna<sup>25</sup> niż zwykle. Wyszła do ogrodu jak mogła najspieszniej i najpierw obiegnęła ogród z fontanną dziesięć razy dokoła. Liczyła starannie, ile razy przebiegła, a gdy skończyła, poczuła się w lepszym humorze. Słońce nadawało całkiem inny wygląd całemu ogrodowi. Wysoka, błękitna kopuła niebios zaciągała się i nad Misselthwaite, a Mary, w górę podniósłszy główkę i patrząc w niebo, rozmyślała nad tym, jakie by się miało uczucie, żeby tak można położyć się na jednym z owych śnieżnobiałych obłoczków i hen w dal popłynąć. Weszła potem do pierwszego ogrodu warzywnego i zastała tam Bena Weatherstaffa z dwoma innymi ogrodnikami. Wydawać by się mogło, że zmiana powietrza i na niego dobrze wpłynęła. Pierwszy do niej zagadał.

– Wiosna się zbliża – rzekł. – Czuje panienka?

Mary poczęła wciągać noskiem powietrze i zdawało jej się, że poczuła.

– Czuję coś ładnego, świeżego, wilgotnego – odparła.

– To ta kochana bogata ziemia – odparł ogrodnik, kopiąc dalej. – Wesoła ona, że już gotowa do przyjęcia ziarna w swe łono. Wesoła ona, jak czas siewu nadchodzi. Nudno jej zimą, jak nie ma nic do roboty. W ogrodach kwiatowych zaczną roślinki kiełkować. Słoneczko je ogrzewa. Niedługo już zobaczy panienka, jak małe zielone kiełki z ziemi czarnej wychodzą.

– A co z nich będzie? – spytała Mary.

– Krokusy, pierwiosnki, narcyzy. Zna je panienka?

---

<sup>25</sup> *więcej samotna* – dziś popr. bardziej samotna. [przypis edytorski]

– Nie, nie znam. Po deszczach w Indiach wszystko jest zielone – rzekła Mary – i mnie się zdaje, że tam w jedną noc wszystko wyrasta.

– Nasze kwiatki nie wyrastają w noc jedną – rzekł Ben Weatherstaff. – Będzie panienka musiała na nie poczekać. Tutaj wyrosną trochę wyżej, tam znów wypuszczą parę kiełków więcej, tu jednego dnia listek rozwiną, innego dnia inny. A panienka niech ich pilnuje.

– Ach i jak chętnie! – wykrzyknęła Mary.

Niebawem usłyszała cichy lot w powietrzu i wiedziała od razu, że to gil. Był strasznie śmiały, ożywiony i skakał tak blisko jej nóg, i przechylał główkę, i tak przebiegle na nią patrzył, że dziewczynka spytała ogrodnika:

– Jak myślicie, czy on mnie pamięta?

– Czy pamięta panienkę? – odrzekł Ben oburzony. – Toć on zna każdy głąb kapusty w ogrodzie, a nie miałby znać ludzi! Przedtem nigdy on tu nie widział dziewczyny, więc teraz sobie postanowił panienkę poznać. Przed nim to i nie trzeba nic ukrywać.

– A czy w tym ogrodzie, w którym on ma gniazdko, też już roślinki puszczają kiełki? – indagowała<sup>26</sup> Mary.

– W jakim znów ogrodzie? – zamamrotał stary, przybierając swój niemiły wygląd.

– No w tym, gdzie to rosną stare krzaki róż. – Nie mogła powstrzymać się od pytania, tak bardzo bowiem pragnęła

---

<sup>26</sup> *indagować* – dopytywać się, wypytywać; prowadzić śledztwo. [przypis edytorski]

wiedzieć coś pewniejszego. – Czy tam wszystkie kwiatki umarły, czy też jeszcze niektóre ożywiają się na wiosnę? A czy są tam zawsze róże?

– Niech panienka zapyta **jego** – i Ben Weatherstaff skinął głową w kierunku gila. – On jeden coś o tym wie. Nikt inny nie zajrzał tam od dziesięciu lat.

„Dziesięć lat to strasznie dawno” – myślała Mary. Ona się urodziła dziesięć lat temu.

Odeszła z wolna, pogrążona w myślach. Zaczęła lubić ów ogród, tak samo, jak zaczęła lubić gila i Dicka, i matkę Marty. Zaczęła lubić i Martę. Strasznie jakoś dużo było do lubienia – tym bardziej, jak się lubić poprzednio nikogo i nic nie umiało. O gilu myślała jak o „osobie”. Poszła na swój ulubiony spacer, wzdłuż długiego okrytego bluszczem muru, ponad którym dostrzec mogła wierzchołki drzew; a kiedy drugi raz przechodziła wzdłuż muru, spotkało ją coś dziwnego i podniecającego, a wszystko przez ogrodnikowego gila.

Usłyszała świergot, a spojrzawszy na ogołocoony klomb, po lewej ręce ujrzała ptaszka skaczącego i udającego, że wydziubuje coś z ziemi, żeby nie myślała, że za nią tu przyleciał. Ale Mary wiedziała, że właśnie za nią podążył, i zdumienie, a równocześnie radość taka ją opanowała, że poczęła drzeć.

– Więc mnie pamiętasz! Pamiętasz! – wołała radośnie. – Jesteś najśliczniejszy na całym świecie!

Świergotała, szczebiotała, przypochlebiała się, a on skakał i ogon rozkładał i ćwierkał. Zdawało się, że rozmawia. Czerwona

kamizelka jego była jak jedwabna i drobną pierś wydymał, i puszył się, i był przy tym taki drobny, a taki śliczny, jakby rzeczywiście chciał jej pokazać, że to gil może być podobny do człowieka. Mary zapomniała, że kiedykolwiek w życiu była rozkapryszona, gdy ptaszek pozwolił jej coraz więcej do siebie się zbliżyć i nachylić się, i rozmawiać, i usiłować wydawać dźwięki do świergotu jego podobne.

Och! I pomyśleć, że on jej pozwolił tak blisko do siebie podejść! Wiedział on dobrze, że za nic na świecie nie wyciągnęłaby do niego ręki i nie wystraszyła najdrobniejszym ruchem. Wiedział, bo był jak prawdziwy człowiek – tylko z wszystkich ludzi najśliczniejszy. Mary tak była szczęśliwa, że lękała się odetchnąć.

Klomb nie był goły zupełnie. Nie było w nim tylko kwiatów – zaś zimnotrwałę przycięto, lecz były od tyłu klombu mniejsze i większe strzyżone krzewy, a podczas gdy tak gil skakał wśród nich, spostrzegła, że przeskoczył grudkę świeżo poruszonej ziemi. Przystanął na niej, by poszukać owada. Ziemia była poruszona przez psa, który usiłował schwycić kreta i wydrapał głęboką jamę.

Mary patrzyła, nie wiedząc, skąd się tu wzięła taka głęboka dziura, a patrząc dostrzegła coś na pół zagrzebanego w świeżo wyrzuconej ziemi. Było to coś w rodzaju kółka z mocno rdzą okrytego żelaza lub mosiądzu, a gdy ptaszek pofrunął na pobliskie drzewo, Mary wyciągnęła rękę i przedmiot ów podniosła. Było to jednak coś więcej niż kółko; był to stary

klucz, który wyglądał tak, jakby od dawna był zagrzebany w ziemi.

Mary stała i przestraszona przyglądała się wiszącemu jej na palcu kluczowi.

„A może go zagrzebano dziesięć lat temu – rzekła sobie w duchu. – Może to klucz od ogrodu!”.

## Rozdział VIII. Gil wskazał drogę

Długo patrzyła na klucz. Obracała go na wszystkie strony i rozmyślała. Jak już wyżej powiedziano, Mary nie przywykła była prosić starszych o pozwolenie lub o radę. A o kluczu tak sobie myślała, że jeśli to klucz od zamkniętego ogrodu, a ona by znaleźć mogła drzwi, to by je może mogła otworzyć i zobaczyć, co się tam dzieje za murem i co się stało z tymi krzakami róż. Pragnęła go zobaczyć i dlatego, że od tak dawna był zamknięty. Wystawiała sobie<sup>27</sup>, że musi on być odmienny i że coś niezwykłego musiało się w nim stać przez lat dziesięć. Poza tym jeżeli go polubi, będzie mogła co dzień doń chodzić i drzwi zamknąć za sobą, i będzie sobie mogła urządzać zabawę, i bawić się sama, bo nikt nie będzie wiedział, gdzie jest, myśleć będą, że drzwi są zamknięte jak od lat, a klucz gdzieś w ziemi pochowany. Myśl ta podobała jej się strasznie.

Życie, jakie tu wiodła, sama w domu o stu tajemniczo zamkniętych pokojach, brak jakiegokolwiek rozrywki, wszystko to pobudziło do pracy jej leniwy dawniej umysł i poczęło rozbudzać imaginację. Nie ulega kwestii, że świeże, jędrne, czyste powietrze ze stepu przyczyniało się do tego niemało. Jak ono dało jej apetyt, a walka z wiatrem krew rozbudziła, tak fakty wzbudziły umysł. W Indiach było jej zawsze za gorąco, czuła się

---

<sup>27</sup> *wystawiać sobie* (daw.) – wyobrażać sobie. [przypis edytorski]

zbyt znudzona i słaba, by pragnąć czegośkolwiek, lecz tu zaczynała chcieć i pragnąć nowych wciąż czynności. Czuła się już o wiele mniej kapryśna, choć nie zdawała sobie sprawy dlaczego.

Włożyła klucz do kieszonki i poczęła chodzić tam i z powrotem. Zdawało się, że tu nikt nie przychodził prócz niej, mogła więc iść powolutku i patrzeć na mur, a raczej na okrywające go bluszcze. Bluszcz był największą przeszkodą w odnalezieniu drzwi. Jakkolwiek starannie się przyglądała, nie mogła nic dostrzec, prócz gęsto rosnących, świecących, ciemnych liści. Była strasznie rozczarowana. Opanował ją dawniejszy zły humor, gdy tak kroczyła wzdłuż muru, spoglądając żałośnie na rosnące za nim drzewa. Takie jej się to wydało głupie, żeby być tak blisko, a nie móc dotrzeć do celu. Wracając do domu, zabrała klucz z sobą, chowając go do kieszonki i postanawiając nie rozstawać się z nim nigdy, aby, na wypadek gdyby furtkę znalazła, móc ją niezwłocznie otworzyć.

Pani Medlock pozwoliła Marcie przenocować w domu, wszakże nazajutrz od samego rana była już przy robocie, różowsza niż zwykle i w złotym humorze.

– Wstałam dzisiaj o czwartej – rzekła. – Oj, jak też cudnie było na wrzosach, jak się ptaszki budzić zaczęły, a króliki gonić, a słońeczko wschodzić. I nie potrzebowałam całą drogę iść pieszo, bo mi pewien człowiek pozwolił przysiąść się na wozie, więc użyłam ci ja, użyłam!

Pełna była rozkosznych wspomnień z dnia ubiegłego. Matka była taka rada, że ją widzi, że prawie i pieczenie odłożyła na inny

raz. Marta upiekła dla każdego dziecka ciastko z powidłami.

– Były jeszcze gorące, prosto z pieca, jak dzieci wróciły. A w izbie tak ślicznie pachniało świeżym pieczywem i ogień był dobry na kominie, więc wszystko aż piszczało z radości. A nasz Dick powiedział, że nasz dom taki śliczny, że i król mógłby w nim mieszkać.

Wieczorem usiedli dookoła komina. Marta z matką łątały podartą odzież i cerowały pończochy, a Marta opowiadała rodzeństwu o małej dziewczynce, która przybyła z Indii i której usługiwali „czarni”, i tak za nią wszystko robili, że teraz sama nie umie pończoszek włożyć na nogi.

– Oj, jak oni też lubią słuchać opowiadania o panience – rzekła Marta. – Wszystko zaraz chcieli wiedzieć i o „czarnych”, i o okręcie, na którym panienka przyплыnęła. Nie mogłam się dosyć naopowiadać.

Mary się zastanowiła.

– Opowiem ci jeszcze wiele różnych rzeczy przed twoim następnym wychodnym, żebyś miała więcej do opowiedzenia rodzeństwu – rzekła. – Myślę, że radzi będą słyszeć, jak się jeździ na słoniach i wielbłądach i o polowaniach na tygrysy.

– O mój Boże! – wykrzyknęła Marta zachwycona. – A toć oni chyba głowę stracą z radości. I naprawdę panienka opowie? To będzie zupełnie tak, jakby widzieli takiego dzikiego zwierza, jakiego tu raz podobno pokazywali w York.

– Indie nie są wcale podobne do Yorkshire – rzekła Mary i zastanowiła się nad tym. – Nie pomyślałam o tym nigdy. Czy

Dick i matka twoja lubią słyszeć o mnie?

– Ano Dickowi to mało oczy na wierzch nie wylażyły – odparła Marta. – Ale matka to się martwi, że panienka jest tu taka samusieńka. I mówi: „Czy to jeszcze pan nie dał jej nauczycielki albo bony?”. A ja mówię: „Nie, nie dał, choć pani Medlock mówi, że da, jak o tym pomyśli, ale też mówi, że może być, że i za trzy lata nie pomyśli o tym”.

– Nie chcę nauczycielki – ostro rzuciła Mary.

– Ale matka mówi, że panienka już się powinna uczyć i mieć kogoś, co by na panienkę uważał, i powiada: „A ty sobie pomyśl, jakby ci było w takim ogromnym pustym domu samej zupełnie, bez matki. Staraj się jak możesz, żeby ją zabawić”. A ja powiedziałam matce, że się będę starała rozweselić panienkę.

Mary spojrzała na mówiącą długo, poważnie.

– I rozweselasz mnie bardzo – rzekła. – Lubię, gdy mówisz.

W tej chwili Marta wyszła z pokoju i wróciła niebawem, niosąc coś pod fartuchem.

– Co też panienka powie, żem panience przyniosła prezent – rzekła wesoło.

– Prezent? – zawołała Mary zdziwiona. Skąd z tego biednego domku można było przynieść prezent?

– Przejeżdżał koło nas taki Węgier – objaśniała Marta. – Zatrzymał się przed naszymi drzwiami. A miał kociołki, rondelki, garnuszki i przeróżne rzeczy, lecz matka nie miała pieniędzy, żeby móc coś kupić. Ale gdy już odjeżdżał, nasza mała Elżbietka zawołała: „Mamo, on ma skakanki z czerwonymi

i niebieskimi rączkami”. A matka nagle zawołała: „Niech no się pan zatrzyma! Po czemu<sup>28</sup> skakanka?”. A on mówi: „Dwa pensy”, a matka zaczęła w kieszeni szukać i mówi do mnie: „Marta, przyniosłaś pewnie zasługi<sup>29</sup>, boś przecie poczciwe dziewczę; mam ci ja do kupienia co prawda akurat cztery rzeczy po pensie, ale doprawdy wolę za dwa pensy skakankę kupić temu dziecku” i kupiła, i oto ona!

Wyciągnęła sznur spod fartuszka i z dumą rozłożyła. Była to mocna, cienka linka z rączką w paski czerwone i niebieskie na każdym końcu, lecz Mary nigdy przedtem nie widziała skakanki. Patrzyła więc zdziwiona.

– Do czego to jest? – spytała ciekawie.

– Do czego? – wybuchnęła Marta. – Czy to panienka w Indiach nie widziała skakanki, choć widziała słonie i wielbłądy, i tygrysy? Nie dziwno mi, toż tam najwięcej „czarnych”. A teraz niech no panienka patrzy, do czego to jest.

I pobiegłszy na środek pokoju, ujęła sznur w obie ręce, a przerzucając go, poczęła skakać, skakać, skakać, podczas gdy Mary jej się przyglądała, a dziwne twarze ze starych portretów zdawały się też na nią patrzeć i dziwić, jak ta mała wieśniaczka śmie im tu pod nosem tańczyć. Lecz Marta nawet nie spojrzała na nich. Zainteresowanie i ciekawość, malujące się na twarzyczce panny Mary, podniecały ją i skakała, i liczyła, i skakała, póki nie

---

<sup>28</sup> *po czemu* – dziś: po ile (pytanie o cenę). [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *zasługi* – tu: wypłata; pieniądze otrzymywane za wykonaną pracę. [przypis edytorski]

doliczyła do stu.

– Mogłabym jeszcze dłużej skakać – rzekła przystając. – Jakem miała<sup>30</sup> dwanaście lat, tom skakała do pięciuset, ale nie byłam taka tęga jak teraz i miałam więcej wprawy.

Mary wstała z krzesła, czując się strasznie podniecona.

– Ślicznie to wygląda – rzekła. – Twoja matka jest bardzo dobra. Czy myślisz, że mogłabym i ja tak skakać?

– Właśnie niech panienka próbuje – nalegała Marta, podając jej skakankę. – Pierwszy raz to panienka do stu nie dociągnie, ale jak się panienka wprawi, to i dalej dojdzie. Tak mówi matka i powiada: „Nic jej się lepiej nie przyda od skakanek. To najwłaściwsza zabawa dla dziecka. Niech się na świeżym powietrzu bawi i skacze, to jej wzmocni ręce i nogi, i muskuły<sup>31</sup> wyrobi”.

To prawda, że Mary nie miała herkulesowych sił, gdy zaczęła skakać. I nie szło jej zbyt zręcznie, ale tak jej się podobało, że jej żal było przestać.

– Niech no panienka się ubierze i idzie poskakać na dworze – rzekła Marta. – Matka mi kazała powiedzieć, żeby panienka jak najwięcej na świeżym powietrzu się bawiła, nawet choćby padało, trzeba się ciepło przyodziać i pójść.

Mary nałożyła płaszczyk i kapturek i skakankę przerzuciła przez ramię. Otworzyła drzwi, by wyjść, lecz nagle coś sobie

---

<sup>30</sup> *jakem miała* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak miałam. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *muskuły* – mięśnie. [przypis edytorski]

przypomniała i z wolna zawróciła.

– Marto – rzekła – to były twoje zarobione pieniądze. Te dwa pensy były twoją własnością. Dziękuję ci. – Powiedziała to sztywno, bo nie zwykła była ani dziękować, ani zwracać uwagę na to, że ktoś coś dla niej zrobił. – Dziękuję ci – powtórzyła, wyciągając rękę, nie wiedziała bowiem, co zrobić.

Marta niezgrabnie potrząsnęła jej rękę, jakby zupełnie nie знаła tej formy. Potem się rozśmiała.

– Eh! Panienka to taka mała-stara – rzekła. – Żeby to była nasza Elżunia, to by mnie była uściskała.

Mary wyglądała na sztywniejszą niż zwykle.

– Chcesz, bym cię pocałowała?

Marta zaśmiała się znowu.

– Ja nie chcę – odparła. – Żeby panienka była inna, to sama by może chciała. Ale mniejsza o to. Proszę teraz pobiegać ze skakanką.

Mary było już nieswojo, gdy wychodziła z pokoju. Lud tutaj był zaiste dziwny, a Marta była dla niej zagadką. Zrazu bardzo jej nie lubiła; teraz to się zmieniło.

Skakanka była bajeczna! Liczyła, skakała, skakała i liczyła, dopóki jej się policzki nie zaczerwieniły, a zajęło ją to jak dotąd nic od urodzenia. Słońce świeciło i powiewał lekki wietrzyk – nie wicher ostry, lecz powiew łagodny, niosący z sobą zapach świeżo poruszonej ziemi. Mary skakała wokoło ogrodu z fontanną i wzdłuż jednej i drugiej ścieżki. Wreszcie doskakała do ogrodu warzywnego i tam ujrzała starego Bena, kopiącego

i prowadzącego dysputę z gilem, który obskakiwał dokoła. W podrygach doszła aż do ogrodnika, który zdjął czapkę i począł jej się przyglądać z ciekawością. Ciekawa była, czy ją dostrzeże, a pragnęła bardzo, by widział, jak skacze.

– Ho, ho! – zawołał. – Jak mi Bóg miły! A toć może panienka naprawdę jest młoda i ma w żyłach krew dziecka, a nie kwaśne mleko. Jakem Ben Weatherstaff, tak panience mało krew z buzi nie tryśnie. Nie byłbym myślał, że panienka potrafi tego dokazać.

– Nigdy przedtem nie skakałam – rzekła Mary. – To dopiero początek. Doszłam tylko do dwudziestu razy.

– Tylko śmiało dalej! – odparł Ben. – Panienka i tak dosyć dobrze skacze, jak na kogoś, co tam mieszkał z poganami. Ot, jak to się panience przygląda – wskazał na gila. – Wczoraj to za panienką poleciał i dziś pewno znów polecą. Będzie naturalnie chciał wymiarkować, co to jest skakanka. Nigdy przecież jeszcze jej nie widział. – A kiwając głową w stronę ptaka, dodał: – Ej, jak się nie poprawisz, to zginiesz przez ciekawość!

Mary obiegła ze skakanką wszystkie ogrody i sad, odpoczywając co kilka minut. Wreszcie doszła do swego własnego miejsca spacerem i postanowiła sobie spróbować, czy przeskacze całą długość muru. Była to długa droga i zanim dziewczynka doszła do połowy, tak się zgrzała i zziąwała, że musiała przystanąć. Nie martwiła się zbyt wiele, bo naliczyła już była do trzydziestu. Zatrzymała się z uśmiechem radości, gdy naraz spostrzegła gila kołyszącego się na długiej gałęzi powoju. Leciał za nią i pozdrawiał ją świergotem. Mary, skacząc

ku niemu, poczuła w kieszeni coś ciężkiego, co ją uderzało po nóżkach przy każdym ruchu, a ujrawszy gila, zaśmiała się powtórnie,

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.